CENA 50 GR·

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 8 Sierpnia 1937 R. NR. 31-32

Józef Wojciechowski

Polityka a młodzież

Hasłem popularnym było u nas od dawna: młodzież zdala od polityki. Żądanie to powracało z szczególną uporczywością w czasie ponawiających się okresowo zamieszek akademickich, które wprawiały odpowiedzialne czynniki administracyjne i wielką część społeczeństwa w prawdziwy stan desperacji. Trzeba skończyć z polityką wśród młodzieży wołano coraz energiczniej. W rzeczywistości dokonano szeregu posunięć; od środków administracyjnych, które zawiodły na całej linji, do pewnych prób ustawodawczych w rodzaju ustawy o stowarzyszeniach akademickich, na której konstrukcji widoczne są głębokie ślady tendencyj separowania młodzieży od wszelkich zainteresowań politycznych.

Z pewnością, jeżeli w Polsce występowano czy występuje się jeszcze przeciwko procesom upolityczniania młodzieży, to ma się zwykle na uwadze politykę w swoistym ujęciu, widząc w niej przede wszystkim kunszt dowolnego operowania elementami rzeczywistości dla utrzymania się przy władzy, lub zdobycia jej, rozmiłowanie w gierkach, przy stosowaniu całej skali środków, od wyzyskania momentów rzeczywistej przewagi nad przeciwnikiem do podstępu i intrygi. Czy jednak ujęcie to odpowiada istocie sprawy?

W szeregu państw, będących dziś widownią wielkich przeobrażeń, upolitycznienie ruchu młodzieżowego, wyniknęło jako nieodparta potrzeba, jako konieczność na drodze rozwiązywania sprawy następców. Kto wytycza sobie odległe cele, które stanowić mają treść istotną i podnietę działalności ludzkiej na całą epokę historyczną, ten poświęcić musi dużą uwagę problemowi następców. Docenić go należycie znaczy przedewszystkiem wpoić w dorastające pokolenia wiarę i przekonanie do postawionych ideałów kierowniczych. Ale na tym rzecz się nie kończy. Wiemy dobrze, że młodzież, pozostawiona sobie, na określonej pożywce ideowej bardzo często wytwarza swój własny systemat i staje przeciwko starszym pokoleniom z całą potęgą nagromadzonej, a niewykorzystanej energji. Jako dalsza przeto potrzeba wyniknęło stopniowe wprawianie młodych pokoleń w uświadamianiu sobie i rozwiązywania zadań aktualnych, stojących przed narodem, państwem, czy partją i t. p. To właśnie stanowi treść istotną wychowania politycznego młodzieży.

Powróćmy jednak do naszej polskiej rzeczywistości. Głoszenie hasła „młodzież zdala od polityki" nie przeszkadzało bynajmniej nieustannym próbom politycznego i partyjnego zorganizowania młodzieży. Nie było właściwie konkretnego przejawu zainteresowania się starszego pokolenia kołami młodzieży, który by był pozbawiony tendencyj politycznych i nie zmierzał do politycznego wychowania pokoleń dorastających. Ogłoszeniu ustawy o stowarzyszeniach akademickich, zdążającej do wytworzenia przepaści między młodzieżą a polityką, towarzyszyło założenie Straży Przedniej — typowy eksperyment wychowania politycznego. Równocześnie zaś w zasięgu środowiska najbardziej zawziętych krytyków politycznego wychowania Straży Przedniej, w zasięgu Stronnictwa Narodowego urzeczywistniana była i wiele nadziei rozpalała polityczna koncepcja O. W. P., organizacji obliczonej na ujęcie kół młodzieńczych. W faktach tych nie ma niczego niezwykłego. Wszak i u nas istniał stale problem następców. Miał on może w Polsce odmienne oblicze, aniżeli gdzieindziej, nie zadecydowała o nim wielkość zamierzonych przemian, wymagających rozłożenia sił na szereg pokoleń. Nie we wszystkich nawet środowiskach politycznych uświadamiano sobie konieczność zasadniczych przeobrażeń rzeczywistości. To raczej wyjątkowe rozbicie społeczeństwa na szereg ugrupowań politycznych, z których żadne nie miało warunków trwalszej przewagi, nadało piętno naszemu problemowi następców. Próby porozumień międzypartyjnych i międzygrupowych dla stworzenia poważniejszego ośrodka siły politycznej zawodziły. W tych warunkach jedynym atutem politycznym, który w razie wygrania dawał bezwzględną przewagę, była właśnie młodzież. W rezultacie, niezależnie od przyczyn, sami szermierze hasła „młodzież zdala od polityki" wprowadzali politykę na drogi rozwojowe młodego pokolenia.

Jeżeli na sprawę spojrzymy z punktu widzenia nie starszego społeczeństwa, lecz dzisiejszej młodzieży, to i wtedy przekonamy się, że złudą jest postulat rozdziału między polityką i młodzieżą. Nowoczesne życie publiczne przyniosło razem z ogromnym poszerzeniem zainteresowań politycznych w masach społecznych i wzrastające zainteresowania młodzieży dla polityki. Młodzież sama nie zadawala się już systematami filozoficzno-ideologicznymi. Stara się myśleć politycznie. Wystarczy wziąć do ręki pierwsze lepsze czasopismo młodzieży, aby się o tym przekonać. Dynamika wielkich przemian, które dokonują się lub niejako wiszą w powietrzu, przyciąga ją do konkretów, każe dostrzegać określone zadania, obliczać siły, oceniać środki. A to są właśnie elementy na wskroś polityczne.

Z faktów powyższych trzeba wyciągnąć konsekwencje. Lepiej wyciągnąć je szczerze, aniżeli podtrzymywać atmosferę zakłamania, w której z jednej strony mówiło się o niemieszaniu młodzieży do polityki,

z drugiej zaś wciągało ją do organizacyj, będących niczym innym jak pepinierą polityczną ugrupowań starszego społeczeństwa.

Wydaje się, że w obecnych warunkach polskich uświadomienie sobie potrzeby politycznego wychowania młodzieży posiada szczególną doniosłość. Między pokoleniami niepodległościowymi, które aktywność swoją włożyły w walki o wolność i często w nich ją wyczerpały, a dorastającymi w atmosferze wolności zarysował się — w najostrożniejszym ujęciu — brak kontaktu i zrozumienia. Nie tu miejsce na wnikanie w bliższe przyczyny. Jedno narzuca się — wyga żołnierz, który nabrał pewności siebie, pełen jest obojętności dla „zupaka". I trzeba dopiero warunków bojowych, w dosłownym czy przenośnym rozumieniu, by zawarł z nim serdeczny kontakt. Brak takich warunków wytwarza specyficzną solidarność „zupaków". Tymczasem te dorastające pokolenia „zupaków" przekraczają już trzydziestkę. Wytworzyła się z nich w organizmie społecznym zastoina, która ma swoją własną prężność i dynamikę. Nie jest wcale przypadkiem, że ostatnimi czasy coraz częściej doniosłe zdarzenia polityczne w Polsce, dokonywujące się niejako na marginesie życia, prowadzą do środowiska dorastających pokoleń jako właściwego sprawcy. Prawda, że większość ich posiada cechy destrukcyjne, niebezpieczne. Ale to już właściwość każdej organicznej zastoiny. Zapobiec realnie niebezpieczeństwom znaczy znowu zwrócić się szczerze i rozsądnie do wychowania politycznego.

Powstaje pytanie, co rozumieć przez wychowanie polityczne młodzieży. Nie sądzę, ażeby można było wychowywać politycznie inaczej, jak przez przyciąganie do wspólnego warsztatu i stopniowe wprawianie w rozwiązywanie praktycznych zadań życia publicznego. I stwierdzić trzeba, że dla tak pojętego wychowania warunki obecne w Polsce są jaknajgorsze. Są najgorsze zarówno od strony obowiązującego ustawodawstwa, decydującego o prawie udziału w życiu publicznym, jakoteż od strony nastawienia tych kół starszego społeczeństwa, którym z natury rzeczy przypaść by musiała rola mądrych i przewidujących wychowawców.

Obowiązująca Konstytucja stawia jako warunek wieku dla prawa wybierania do sejmu ukończonych lat 24, dla prawa wybieralności lat 30. Znaczne przesunięcie dolnych granic wieku dla czynnego i biernego prawa wyborczego, dokonane przez nią (w dawnej konstytucji odpowiednie granice wynosiły 21 i 25 lat), uważane było w toku przygotowań do reformy za rzecz, która się sama przez się rozumie. W tym punkcie istniała wyjątkowa zgodność także w łonie stronnictw opozycyjnych. Rozumiano widocznie, że coś w systemie demokratyczno - parlamentarnym szwankuje i szukano możliwie wygodnego kozła ofiarnego. Zmianę konstytucyjną uzasadniano dążeniem do większej równowagi politycznej i wyzszego poziomu izby poselskiej. Jeżeli jednak pod tym względem miano słuszne zastrzeżenia do poprzedniego stanu rzeczy, to czyż jako jego motywacja nie narzucały się wogóle niski poziom umysłowy szerokich mas w Polsce i powszechne małe wyrobienie polityczne; najmniej w każdym razie czynnik wieku?! Trudno zrozumieć, dlaczego np. syn chłopa, wychowany w polskiej szkole i polskich organizacjach, ma posiadać mniej kwalifikacyj politycznych, aniżeli jego ojciec, który często pisać i czytać nie umie, gusłom i zabobonom hołduje. Jeden tylko argument twórców nowej konstytucji za podniesieniem granicy wieku dla czynnego prawa wyborczego zdaje się przemawiać do przekonania: wzgląd na pokrzywdzenie tych, którzy w czasie wyborów odbywają najistotniejszy obowiązek wobec państwa — dwuletnią służbę wojskową.

Wspomniany jednak argument nie uzasadnia już bardzo znacznego przesunięcia granicy wieku dla biernego prawa wyborczego z 25 lat na 30 lat. Jeżeli przyjrzymy się uważniej temu, co nazwałem zastoiną młodzieżową w polskim organizmie społecznym, posiadającą własną prężność i dynamikę, to stwierdzimy, że właśnie owych pięć roczników stanowi jej zasadniczy zrąb. Pamiętajmy zaś, że wobec pięcioletniej kadencji sejmu aktualizacja prawa oddziaływania na rzeczywistość polityczną przez udział w sejmie przesunąć się może w granicznych przypadkach do lat 35. Wzmaga to znaczenie zastoiny, która, zasilana przez starsze roczniki przodowników, posiada coraz mniej cech młodzieżowych, właściwych tylko pewnemu okresowi życia.

Konstytucja posiada najczęściej wielkie znaczenie dla ducha i kierunku ustawodawstwa, na niej opartego. I to jest dla poruszonej sprawy bardzo ważne. Za konstytucją przyjęła i nasza ustawa samorządowa z dnia 23 marca 1933 r. (D. U. Nr. 35 poz. 294) jako warunek biernego prawa wyborczego do samorządu wiejskiego i miejskiego ukończonych 30 lat. Można więc być już lekarzem czy adwokatem, doradcą skomplikowanych przedsiębiorstw, można być najlepszym rolnikiem na własnym kawałku ziemi, można zjeść zęby na pracy społeczno - organizacyjnej (prawo o stowarzyszeniach z 27.X.1932 r. zezwala na należenie do stowarzyszeń od 18 roku życia, pod pewnymi warunkami jeszcze wcześniej), na robocie politycznej, a mimo to nie mieć prawa zasiadania w organach samorządowych. A przecież jednym z założeń samorządu jest jego rola wychowawcza. Samorząd ma uczyć gospodarowania w imieniu publicznym, wyrabiać wartości społeczne i polityczne. I zapytać trzeba kogo ma on tych rzeczy nauczyć? Czy tych, którzy od życia niczego już nauczyć się nie chcą?

Duch naszego ustawodawstwa podstawowego w stosunku do sprawy przyciągania dorastających pokoleń do prac publicznych, do życia politycznego, jest oczywiście odwierciedleniem nastawienia kół starszego społeczeństwa, które ustawodawstwo to stworzyły. I bez tej pośredniej drogi łatwo jest wykryć w każdej nieomal dziedzinie życia, że starsze społeczeństwo nie ma właściwego stosunku do zarysowanego problemu. Między dwoma pokoleniami, wychowanymi w zasadniczo odmiennych warunkach, napróżno szukamy dotychczas tego ducha kombatanctwa, który wiąże mocno uczestników walki o wspólne cele. Dominuje nadal duch kombatanctwa z minionych przeżyć wojennych, posiadający wiele cech wartościowych społecznie, ale i zarodki niebezpieczeństwa przesłonięcia trzeźwego spojrzenia w przyszłość. Tak jest nietylko w dziedzinie życia społeczno - politycznego. Żyjemy w okresie rozpowszechnienia aplikacyj i praktyk wszelkiego rodzaju. Zadaniem ich jest bezwątpienia stopniowe wciąganie nowych adeptów w pracę zawodową. Jakże rzadko jednak ten zasadniczy cel przejawia się w praktycznym zastosowaniu. Tylko niewielu kierowników fachowych, patronów i t. p. wczuło się w istotną, przodowniczą rolę w stosunku do młodszych kolegów. Znakomita większość widzi w stosunkach tego typu szczęśliwe przesunięcie bodaj o parę lat nowej konkurencji zawodowej, w najlepszym razie stosunek pracy najemnej.

Zmierzam do konkluzji. Problem młodzieżowy w Polsce nabiera w jednym punkcie szczególnej ostrości. Punktem tym jest zatamowanie normalnego przenikania pokoleń dorastających w życie społeczno - państwowe. Następstwa widoczne są zwłaszcza w sferze politycznej w postaci wyrastania ośrodka o odrębnej energji politycznej, złożonego z szeregu roczników młodzieży, ośrodka pozbawionego kontaktu z rzeczywistością polityczną, układaną i kierowaną przez pokolenie niepodległościowe. Istnieje paląca konieczność przyciągnięcia dorastających pokoleń, wychowanych w atmosferze wolności, do wspólnego warsztatu życia publicznego i stworzenia warunków dla politycznego wychowania młodzieży. Leży to w interesie zapewnienia państwu rozwoju spokojnego i pozbawionego wstrząsów oraz w interesie uchronienia istotnych wartości, wniesionych przez pokolenia niepodległościowe. Rozwiązanie tej sprawy nie będzie jednak łatwe: wymaga ono sięgnięcia do istotnych źródeł niepokojącego zjawiska.

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

Zbigniew Domaniewski

Kościół a polityka międzynarodowa

Nieposkromiony temperament światopoglądowy hitleryzmu uaktywnił rolę kościołów na otwartej arenie polityki międzynarodowej. Ideologia nacjonalizmu niemieckiego, gruntującego państwo swe na podstawie światopoglądowej sięgającej najgłębszych podstaw duchowych życia ludzkiego, wprowadziła Trzecią Rzeszę w konflikt z kościołem, w pierwszym rzędzie z kościołem rzymskim. Walka z kościołem rzymskim, katolickim, czyli powszechnym, a więc ponadnarodowym, jest walką, rozgrywaną nie tylko na terenie Niemiec, lecz również na terenie duchowym między państwem niemieckim a wielkimi odłamami społeczeństw wielu przodujących państw świata, rządzonymi w sferze duchowej absolutystycznie i centralistycznie przez biskupa rzymskiego, głowę kościoła. A że akcja antykościelna hitleryzmu ma wyraźny podkład polityczny — Watykan staje się dziś jednym z najaktywniejszych podmiotów polityki międzynarodowej.

Przychodzi mimowoli na myśl ten bujny okres historii kościoła rzymsko-katolickiego, w którym był on n a r ó w n i mocą duchowną, jak polityczną. Przypominamy sobie, iż co najmniej — jak długo trwa kościół rzymski — polityka była dla niego ś r o d k i e m, prowadzącym do celów duchowych. Choć źródła objawienia mówią o d w ó c h o d r ę b n y c h władzach — duchownej i świeckiej — a ewangelia przeciwstawia kościół pod zwierzchnictwem apostoła Piotra państwu pozostającemu pod zwierzchnictwem królów i cesarza, to jednak ż y c i o w o rzecz biorąc, łatwo się spodziewać immiscencji kościoła do polityki, która jest właśnie rdzenną sprawą państwa. We wszystkich sprawach ziemskich, o ile odnoszą się one do celów duchowego doskonalenia człowieka, a więc i w polityce, kościół pragnie interweniować. Szczególnie dziś, kiedy z inicjatywy hitleryzmu ś w i a t d u c h o w y stał się nie tylko elementem, ale i fundamentem polityki. W takich warunkach odgraniczenie działalności kościoła od polityki staje się wręcz niemożliwe. I tak też udział kościoła w polityce, który zawsze istniał, choć okresami słabł, staje się coraz to intensywniejszy.

Szeregują się przed nami aktualne fakty. Z nich najważniejszym jest bezsprzecznie coraz wyraźniejsze przypisywanie przez ustroje totalne państwu i jego głowie roli, nadprzyrodzonej. Hitleryzm poszedł w tym zakresie najdalej. Pominiemy tu propagandowe enuncjacje min. Goebbelsa, mające na celu deifikację kanclerza Hitlera w oczach mas niemieckich. Warto jednak zaznaczyć, że, powiedzmy, u r z ę d o w a formuła deifikacyjna wygłoszona została nawet na wszechświatowym kongresie kościelnym w Oxfordzie. Mianowicie dr. Melle, biskup metodystów niemieckich, oznajmił w dyskusji, jaka wynikła w związku z przedstawieniem rzymskich katolików niemieckich jako uciśnionej i prześladowanej społeczności chrześcijańskiej, co następuje: „Kościoły wolne (w Niemczech) uważały narodowy rząd ludu niemieckiego za d z i e ł o o p a t r z n o ś c i b o s k i e j i do modłów za wszystkie władze dołączały podziękę za to, że B ó g z e s ł a ł w o d z a, który był w stanie wygnać z Niemiec niebezpieczeństwo bolszewizmu i odsunąć naród od przepaści zwątpienia, nad którą został on doprowadzony przez wojnę światową, traktat wersalski i jego następstwa". W dalszym ciągu biskup metodystów niemieckich mówił, czyniąc aluzję do ostatnich procesów przeciwko duchowieństwu rzymsko-katolickiemu, że wolne kościoły „pochylały się ze wszystkimi poważnymi chrześcijanami z powodu tych bolesnych grzechów chrześcijan, które doprowadziły do takiego s ą d u b o ż e g o w narodzie niemieckim". W myśl urzędowej koncepcji światopoglądowej hitleryzmu Chrystus wprowadził ludzi w b e z p o ś r e d n i ą styczność z Bogiem, jako ich Ojcem. Miało to być wyzwolenie ludzi od pośrednictwa kapłańskiego. Teraz hitleryzm stara się tak samo uwolnić swój lud od „zbędnego pośrednika", kościoła. Ale z drugiej strony lukę, jaką czyni, starając się odsunąć kościół od „pośredniczenia między ludem niemieckim a Bogiem" — wypełnia hitleryzm natychmiast, dając ludowi nowego pośrednika: p a ń s t w o. Czyli stan rzeczy, oscylujący między wynoszeniem organizacji państwowej do roli kościoła a deifikacją państwa i jego głowy — Führera.

Deifikacja państwa i wodza właściwa jest nie tylko hitleryzmowi. Toż samo widzimy we Włoszech i w Rosji. Tutaj, na Wschodzie, odzwierciadla się to w t r w o d z e przed państwem i w czołobitnym bałwochwalstwie. Tak jednak czy inaczej, każde z państw totalnych jednakowo uzurpuje sobie pewne atrybuty boskości, a co najmniej chce stać się kościołem. Osobliwa ta, powiedzmy, herezja zmusza oczywiście kościół do kontrofenzywy i to nie tylko kościół rzymsko-katolicki. Wspomniany już wyżej wszechświatowy kongres kościołów chrześcijańskich, który odbywał się w lipcu w Oxfordzie, z udziałem wszystkich bez wyjątku kościołów chrześcijańskich, oprócz rzymskiego, wydał orędzie dla ludzkości chrześcijańskiej, w którym wystąpił ostro przeciwko koncepcjom światopoglądowym państw totalnych. — „Deifikacja narodu, rasy, klasy czy jakiejkolwiek bądź ideologii politycznej lub socjalnej, jest bałwochwalstwem. Wzmagając podziały, prowadzi ona tylko do nieszczęścia... Na tym właśnie punkcie w wielu krajach konflikt między wiarą chrześcijańską a koncepcjami życia niechrześcijańskimi, między kościołem a filozofiami i ruchami totalistycznymi, jest najostrzejszy. Dla kościoła wszystko tu jest w grze i powinien on być gotów do wydania bitwy".

A więc kościół wydaje bitwę państwom totalnym! Kościół rozpoczyna kontrofensywę! Zaczął ją zresztą już w marcu Watykan, ogłaszając dwie encykliki: jedną przeciwko ateizmowi bolszewickiemu, drugą przeciwko herezjom hitlerowskim. Watykan nie ograniczył się do encyklik. To było w marcu, lipiec przyniósł coś nowego: Watykan, występując jako mocarstwo moralne, wkroczył na arenę hiszpańskiej polityki nieinterwencyjnej, starając się paraliżować akcję światopoglądową „prawicowych" państw totalnych. Wiadomo, że blok „prawicowych" państw totalnych — Włochy, Niemcy i (totalizująca) Portugalia — traktuje wojnę w Hiszpanii jako wojnę „idei porządku" z bolszewizmem, podtrzymywanym jawnie przez Sowiety, ukrycie przez Francję. Przeciwko właśnie domniemanym hiszpańskim machinacjom Francji występują — jak to głoszą — „prawicowe" państwa totalne. Otóż 13 lipca miała być zniesiona przez Francję na granicy w Pirenejach międzynarodowa kontrola nieinterwencji. Niemiecka ajencja urzędowa, D.N.B., podaje tę wiadomość, o p u s z c z a j ą c następujący, zasadniczy moment sprawy: Francja znosi wprawdzie — wzorem Portugalii — m i ę d z y n a r o d o w ą kontrolę, ale pozostawia własną, mającą strzec wykonania francuskich ustaw o niepopieraniu hiszpańskich obozów walczących. Z takim samym tendencyjnym opuszczeniem informują źródła włoskie. Idąc po tej linii, prasa na obu krańcach „osi" antybolszewickiej, w Berlinie i Rzymie, rozdmuchuje ogień zgrozy. — „Francja otwiera na oścież granicę z Hiszpanią bolszewicką! Francja przechodzi do otwartego wspierania bolszewików hiszpańskich" — oto nagłówki w dziennikach.

Francja staje się przedmiotem niebywa-

łych ataków prasowych. Tak np. były sekretarz partii faszystowskiej i członek Wielkiej Rady, Farinazzi, pisze 12 lipca w *Regime Fascista*, że „miliony faszystów gotowe są stanąć frontem przeciwko komunizmowi wielokolorowemu (sic!) i gotowe są przebyć Morze Śródziemne dla niesienia generałowi Franco swej wiary, swego wytrwałego entuzjazmu, swej odwagi i swego życia. Aby się to stało, wystarcza jeden gest wodza. Niech nikt w to nie wątpi po drugiej stronie Alp". Miliony faszystów czekały więc tych dni na skinienie wodza Włoch, aby zmierzyć się w Hiszpanii z domniemanymi zastępami trójkolorowych bolszewików. Miliony faszystów gotowe były uderzyć w domniemanych Francuzów, broniących w Hiszpanii niszczycieli cywilizacji, niszczycieli kościołów i wiary. Ale cóż się dzieje równocześnie? W Lisieux odbywa się francuski kongres eucharystyczny. W ramach jego ma się odbyć poświęcenie nowej katedry. I w tym tak bardzo w polityce międzynarodowej naprężonym momencie, kiedy „prawicowe" państwa totalne obrzucają Francję błotem zarzutów o czynnym wspieraniu „podpalaczy kościołów i niszczycieli wiary", kiedy w Rzymie i Berlinie chodzi o zmobilizowanie opinii światowej przeciwko Francji „masońskiej i bolszewickiej" — rząd Francji poraz pierwszy od roku 1814 wita w Paryżu legata papieskiego, udającego się do Lisieux. Ten właśnie moment międzynarodowo-polityczny wybrany został przez Watykan do wysłania do Francji po stu dwudziestu trzech latach przerwy swego legata. I w tym właśnie dniu, a nawet w tej samej niemal godzinie, w której międzynarodowi kontrolerzy granicy francusko-hiszpańskiej przerwali swe funkcje, a więc w chwili, w której w przedstawieniu propagandy oficjalnej „prawicowych" państw totalnych rząd Francji Frontu Ludowego miał już otwarcie iść z pomocą hiszpańskim „podpalaczom kościołów" — w Notre Dame de Paris mgr. Pacelli, sekretarz stanu Piusa XI, wstąpił na ambonę i wobec ministrów Frontu Ludowego, socjalistów i masonów, rozpoczął kazanie: „tutaj jest sama dusza Francji, starszej córki Kościoła!... Znamy dążenia i troski Francji dzisiejszej; obecne pokolenie śni być pokoleniem karczowników, pionierów; dla odbudowania świata chwiejnego i pozbawionego kierunku czuje w sercu zapał, uczucie inicjatywy, nieposkromioną potrzebę działania, pewne umiłowanie walki i ryzyka, pewną ambicję zdobywczą i prozelityzm w służbie jakiegoś ideału... Francja, która idzie naprzód, nie zważając na wszystko, Francja, która nie umiera" — takie były słowa legata papieskiego. A więc nie Francja na skraju bolszewickiego barbarzyństwa, jak tego chcą prorokowie z Berlina i Rzymu. Nie Francja upadku, tylko życia i ewolucji. Nie czynnik polityczny, zwalczający ideę porządku — uzurpowaną przez Niemcy i Włochy — tylko czynnik „odbudowy świata chwiejnego i pozbawionego kierunku".

Cóż to znaczy? Znaczy, że w dniu, w którym Francja — znosząc kontrolę międzynarodową w Pireneach — uderzyła na gruncie mocarstwowym w politykę bloku „prawicowych" państw totalnych, Watykan uderzył w politykę tego bloku na gruncie światopoglądowym. Bo niczym innym nie mogło być i nie było kazanie kardynała Pacellego w Notre Dame, jak chęcią przyjścia Francji z pomocą moralną, chęcią podtrzymania moralnego w obliczu opinii światowej Francji, stojącej mężnie naprzeciwko zwartego frontu zosiowanych dyktatorów, pragnących narzucić Hiszpanii podległą państwowość totalną. Mówiono potem powszechnie, że Watykan wszedł w przymierze z socjalistami i masonerią i niezmiernie się temu dziwiono. W Niemczech i we Włoszech przebąkiwano, że kościół katolicki... sprzymierza się z bolszewikami przeciwko Niemcom i Włochom; dla tych dwóch państw obecny rząd francuski jest bolszewicki. Nie należy jednak brać tak powierzchownie ostatnich posunięć kościoła rzymskiego. Wszyscy trzej reprezentanci totalizmu — Niemcy, Włochy, Rosja — są dla Watykanu jednym wrogiem. Na tę jedność może np. rzucić jaskrawe światło niedawny artykuł w *Critica Fascista* p. t. „Faszym i Stalin". W artykule tym autor dochodzi do wniosku, że reformy Stalina z lat 1935-36 są to „reformy faszystowskie" i świadczą one o „naturalnej sile ekspansywnej idei rewolucji mussolińskiej". Czyż więc Watykan, obserwując bacznie ewolucję ideologiczną w trzech państwach totalnych, nie może ze swych obserwacji wysnuć wniosku, że rozwijają się one światopoglądowo w sensie zbieżnym? Czyż nie można wnioskować dalej, że dzisiaj antagonizujący wrogowie kościoła katolickiego — hitleryzm i komunizm — znajdą się w przyszłości w zgodnym szeregu międzynarodówki totalistów? Czyż nie można się spodziewać w związku z tym powstania jakiegoś „powszechnego kościoła wiary w boskie posłannictwo państwa totalnego"? — Można być w każdym razie pewnym, że ta nowa wiara wydałaby chrześcijaństwu wojnę i walczyłaby z pewnością z niemniejszym fanatyzmem, niż półksiężyc walczył ongiś z krzyżem.

Jeśli więc chodzi o Hiszpanię, to Watykan musi zwalczać zarówno interwencję Rosji — totalizmu „lewicowego" — jak i niemiecko-włosko-portugalską, czyli interwencję totalizmu „prawicowego". Watykan musi zwalczać w Hiszpanii wrogów chrześcijaństwa. Czy wynika z tego, że gen. Franco jest jego naturalnym sojusznikiem? Gen. Franco występuje m. in. w roli obrońcy kościoła. Ale jednocześnie mówił swojego czasu, że zaprowadzi w Hiszpanii po ewentualnym zwycięstwie ustrój zbliżony do ustroju Niemiec hitlerowskich. Któż więc zaręczy, że gen. Franco — nazywający się obrońcą kościoła — jeśli nawet odbuduje w Hiszpanii kościoły, to nie powiesi w nich obok wizerunku Chrystusa własnych portretów w otoczeniu obrazów Mussoliniego i Hitlera, każąc czcić trójcę zbawców ludzkości od bolszewizmu. Watykan wspiera walkę z bolszewizmem w Hiszpanii, ale nie pragnie bynajmniej zwycięstwa antychrześcijańskiego totalizmu. Dlatego też Watykan w sprawie hiszpańskiej czuje się dziś naturalnym sprzymierzeńcem ideowym Francji i Anglii, którym przyświeca idea: Hiszpania ani „lewicowo", ani też „prawicowo" totalna, tylko Hiszpania politycznego i światopoglądowego umiaru. Ta zbieżność dążeń dotyczy zresztą rzeczy głębszych, niżeli tylko sprawa hiszpańska.

Kościół wyszedł na otwartą arenę polityki międzynarodowej. Można powiedzieć, że został do tego sprowokowany przez ofensywę ustrojów totalnych. Istotna przyczyna zdaje się jednak leżeć znacznie głębiej. Jeżeli bowiem — jak jest w istocie — polityka pewnych państw sprowokowała kościół do kontrofensywy, to wina leży również po stronie kościoła. Dopuścił on bowiem do powstania głębokiego rozdźwięku między wymaganiami życia realnego a kościelną koncepcją duchowego kształtowania ludzkości chrześcijańskiej. Ta koncepcja jeszcze rok, czy dwa lata temu, była taka sama jak przed wojną światową. Tymczasem cztery lata wojny światowej dokonały w umysłach i w duszy ludzkości chrześcijańskiej niebywałego przełomu. Kościół dopatrywał się w moralnych konsekwencjach wojny znamion upadku, traktował je jako objawy raczej przejściowe. Tymczasem nie było to wcale powojenne „załamanie moralne", lecz daleko idąca ewolucja. Życie duchowe ludzkości, które przed wojną miało uregulowany swój stosunek do wiary, poszło szybko naprzód, a koncepcja duszpasterska kościoła pozostała w miejscu. Kiedy więc w niektórych państwach przyszły do głosu potężne ruchy światopoglądowe polityczne i społeczne, konflikt między polityką, stającą się w coraz to większym stopniu integralną częścią życia każdej jednostki, a kościołem, stał się nieunikniony.

Kościół stoi dziś wobec wielkich konieczności ewolucyjnych. Walki polityczne, w jakie kościół został dziś wpleciony, mogą odegrać w jego historii rolę analogiczną, jaką odegrała dla życia świeckiego wojna światowa. Z walk, jakie kościół będzie zmuszony stoczyć w niektórych krajach z ruchami światopoglądowymi i autorytetem państwowym, powinien wyjść gruntownie przekształcony. Wtedy może okaże się, iż ludzkość chrześcijańska jest w stanie zsynchronizować swe ostatnie zdobycze ducha i umysłu ze stanowiskiem duszpasterskim kościoła. W takiej sytuacji, jaka się wytworzyła po wojnie światowej, nie wydaje się to możliwe. I dlatego też ciężkie położenie, w jakim znalazł się teraz kościół, położenie zmuszające go do walki, uważać należy za zdrowy czynnik ewolucji życia duchowego ludzkości.

Dr Walenty Machowski

Rząd i samorząd

Artykuł niniejszy, otrzymany z rąk rodziny ś. p. dra Walentego Machowskiego, stanowi treść odczytu, wygłoszonego przez wybitnego działacza i znawcę zagadnień samorządowych na krótko przed śmiercią na zebraniu poznańskiego oddziału «Kuźnicy»

REDAKCJA

Przedmiotem niniejszych rozważań jest omówienie stosunków pomiędzy państwem i samorządem — a właściwie pomiędzy rządem, jako praktycznym wyrazicielem państwa i samorządem terytorialnym. Chodzi tu nie tylko o przedstawienie tego, co było, lub tego, co jest, ale przede wszystkim o wykazanie, jakimi winny być te stosunki w związku z wymogami, które stawia życie i logika sytuacji, w jakiej się znajduje współczesne społeczeństwo.

Wydaje się, że najłatwiej dojdziemy do jądra zagadnienia, zastanawiając się nad samym pojęciem samorządu terytorialnego, nad jego istotą.

Rozważania nad istotą samorządu terytorialnego są tak stare nieomal, jak samorząd, i posiadają bogatą literaturę. Odnosi się to zwłaszcza do literatury niemieckiej, w której skłonność do oderwanych, teoretycznych dociekań, właściwa rasie niemieckiej, doprowadziła, jak pisze Preuss, jeden z najwybitniejszych niemieckich znawców samorządu, do prawdziwego chaosu zdań. Były nawet takie zdania, co prawda dawniejsze, które wskazywały, że pojęcie samorządu jest nieokreślone i że istoty samorządu w sposób ścisły ująć się nie da. Niemniej jednak ilość sformułowań pojęcia samorządu w literaturze niemieckiej jest ogromna, o czym świadczy zestawienie przez jednego z profesorów niemieckich aż 47 odrębnych definicji dotyczących pojęcia samorządu.

Ta mnogość definicji wynikała nie tylko ze wspomnianej dążności autorów do zbyt gruntownego wyjaśnienia wszystkiego, nie tylko z faktu, że samorządowa rzeczywistość jest ciągle płynna i zmieniająca się zarówno w przeszłości, jak i w teraźniejszości, ale przede wszystkim z różnorodności założeń, z jakich wychodzili autorzy, z odmienności celów, jakie stawiali samorządowi do spełnienia.

Są dwa główne poglądy, dwa podstawowe założenia, z których wychodzono, rozpatrując pojęcie samorządu:

Jedno — głoszące, że w samorządzie wyraża się prawo naturalne zbiorowości ludzkiej, niezależne od państwa, prawo do samodzielnego zaspokojenia swych potrzeb gospodarczych, społecznych i kulturalnych.

Drugie — widzące w nim tylko pewien system administracji publicznej, stanowiący część składową, czy też organ administracji państwowej.

Obydwie te teorie — naturalistyczna i państwowa — ekstremistyczne, wyłączające się wzajemnie, traktowały zagadnienie, mające wszelkie właściwości zagadnienia życiowego, w sposób zanadto oderwany, ażeby mogły się ostać.

Pierwsza z nich upatrywała w samorządzie przede wszystkim *instytucję obronną* przeciwko wszelkiemu wkraczaniu państwa w sprawy gminne, *widziała w państwie naturalnego wroga samorządu* i w konsekwencji prowadziła do wzajemnego przeciwstawiania samorządu i państwa. Teoria naturalistyczna straciła w ostatnich czasach na aktualności, zwłaszcza wobec ustalenia w nowoczesnej nauce, że tzw. prawo naturalne gminy do samorządu, prawo przyrodzone, niezależne od państwa, nie istnieje, że natomiast samorząd jest funkcją państwa, istnieje dla państwa, i tylko od państwa pochodzą jego uprawnienia. Między innymi Jellinek, wielokrotnie cytowany przez autorów polskich, wyraźnie przeciwstawia się wspomnianej teorii, stwierdzając w swej „Nauce o Państwie", że *„własne prawo zwierzchnicze gminy nie jest prawem samorządnym"*. Upadek teorii naturalistycznej w jej krańcowej szacie wzmocnił oczywiście stanowisko teorii państwowej, ale nie przyczynił się przez to do wyjaśnienia istoty samorządu, który jest zjawiskiem zanadto złożonym, ażeby można było sobie tłumaczyć samorząd tylko jako organ administracji państwowej. Stojąc na stanowisku wyłącznie teorii państwowej samorządu, moglibyśmy zaprzeczyć konieczności istnienia samorządu, traktując go jako zjawisko przejściowe i nie wyznaczając mu żadnego naturalnego podłoża dla jego istnienia. A jednak, przyjmując, że pod względem formalnym samorząd jest systemem administracji publicznej, ustanowionej przez państwo, musimy dopatrywać się w nim ponadto naturalnego dążenia zbiorowości ludzkich do organizowania się terytorialnego w komórki wyższego typu dla celów utylitarnych, dążności, wynikających przede wszystkim z potrzeb życiowych. I bez względu na systemy polityczne, które rządziły państwem i rządzić będą, bez względu na miejsce i epokę, dążenia te pojawiały się zawsze i pojawiać się będą w dalszym ciągu.

I dlatego, rozpatrując obydwie teorie, należy przyjść do wniosku, że żadna z nich w krańcowym swoim wyrazie utrzymać się nie da. Prawda bowiem leży w pośrodku.

Niezależnie od wspomnianych teorii, które mogą być takim czy innym punktem wyjścia do rozważań nad istotą samorządu, należy się zastanowić, czego wymaga rzeczywistość, gdy chodzi o samorząd, to znaczy — jaka forma, albo, powiedzmy, jaki stopień samorządu, z uwagi na jego stosunek do państwa, jest we współczesnych warunkach najbardziej potrzebny i najwięcej celowy?

Z natury rzeczy wprowadza nas to na drogę rozważenia zadań administracji państwowej w ogóle, a samorządowej w szczególności. — Zadania te, ujmując je od strony socjologicznej, sformułowane najogólniej, brzmiałyby: świadczenie społeczeństwu usług przez najsprawniejsze i najbardziej celowe zaspokajanie jego potrzeb, pilnowanie jego interesów i gruntowanie jego pomyślności. To ujęcie odpowiadałoby zasadniczo zarówno czynnościom administracji państwowej, jak i samorządowej, z tą atoli różnicą, że wtedy gdy administracja państwowa wykonuje swe czynności na całym terenie państwa w odniesieniu do spraw ogólnych, administracja jakiejkolwiek jednostki samorządowej — na terenie ograniczonym w odniesieniu do spraw o zasięgu miejscowym. Gdy władza państwowa wykonywana jest przez mianowanych urzędników, władza samorządowa — przez wybranych obywateli, lub urzędników przez nich ustanowionych.

Zbieżność zadań administracji państwowej i samorządowej nasuwa pytanie, czy potrzebne jest to odrębne ich funkcjonowanie i czy nie mogłaby z równą korzyścią dla społeczeństwa zaspokajać wszystkie nawet najdrobniejsze miejscowe potrzeby społeczne władza państwowa?

Umysł, dążący do uproszczonych konstrukcji, odpowiedziałby na powyższe pytanie pozytywnie. Doświadczenie życiowe mówi inaczej. — Nie może administracja państwowa zastąpić całkowicie administracji samorządowej, gdyż ta ostatnia w zakresie spraw swoich, na swoim terenie, wypełni swe obowiązki sprawniej i taniej.

Sprawniej — gdyż administracja państwowa, kierowana centralnie ze stolicy państwa, nie może tak dokładnie wniknąć w potrzeby i stosunki lokalne danej miejscowości, jak ci, którzy zostali wybrani spośród miejscowego społeczeństwa i związani są z nim swoimi innteresami gospodarczymi.

Taniej — gdyż cały szereg czynności w samorządzie wykonywanych jest przez wybranych obywateli bezpłatnie, honorowo.

Jest jeszcze jeden moment, który przemawia niesłychanie dobitnie za systemem administracji samorządowej.

W dzisiejszych czasach — o wyjątkowym napięciu przeciwieństw narodowych i państwowych i wybitnie skomplikowanych stosunków gospodarczych — państwo musi być świetną organizacją, działającą spraw-

nie i celowo w każdej ze swych podstawowych komórek. Sprawność ta wymaga jednolitości władzy w państwie, ale wymaga także wydobycia ze społeczeństwa maksimum wysiłków i poświęcenia. Bez zespolenia szerokich mas z państwem wydobyć się tego nie da. Przeciętny szary człowiek miasteczka czy wsi, gdy żąda się od niego ofiary z jego osobistych korzyści na rzecz dobra ogólnego, jakim jest państwo, musi rozumieć cele swego państwa, czuć się z nim zespolonym, musi współdziałać w sposób sobie bliski z władzami publicznymi. Państwo, administrowane wyłącznie przez biurokrację urzędniczą, może wymusić posłuch w społeczeństwie, nie wywoła jednak dla swego działania głębokiego rezonansu, który jedynie mógłby ustokrotnić jego wysiłki. Zespolenia tego nie dokona w pełni także demokracja parlamentarna, przez którą naród ma wykonywać swą zwierzchnią władzę.

Formalnie — tak, w rzeczywistości jednak demokracja parlamentarna nie przybliżyła dosyć narodu do zawiadywania sprawami państwowymi i przeciętny obywatel, podobnie jak przy innych systemach, nie ma możności oddziaływania na tok spraw publicznych. Na skutek bowiem rozległości terytorialnej współczesnych państw i pośrednictwa stronnictw politycznych, których omnipotencja wydaje się być tym większa, im rozleglejsze jest państwo, wpływ szerokich mas na sprawy publiczne jest właściwie fikcyjny, w najlepszym zaś razie tak oddalony i nierealny, że zaciera się w świadomości szarego człowieka. Możemy uważać demokrację parlamentarną za najwięcej celowy w pewnych warunkach system polityczny w państwie, ale nie uchroni to jej od zarzutu, że nie zjednoczyła dostatecznie szerokich mas z państwem.

Właściwym, najskuteczniejszym i niewątpliwie najpowszechniejszym sposobem zespolenia biernych mas z państwem, jest szeroki samorząd terytorialny. Władza gminna, której podlega robotnik, mieszczanin czy chłop, jest jego najbliższą władzą zwierzchniczą, którą wybiera, wie dlaczego wybiera i dla jakich celów. Na przykładzie spraw gminnych, które mu są bliskie i zrozumiałe, uczy się dopiero odróżniać interes osobisty jednostek od interesu zbiorowego, przykładać wagę do odległych celów, których korzyści bezpośrednich nie widać, a gdy zasiądzie w radzie, ma możność ogarnąć wzrokiem szersze horyzonty i zrozumieć wagę spraw państwowych.

Samorząd terytorialny jest dla szerokich mas ludności jakby oknem społecznym na świat, jest prawdziwą szkołą życia obywatelskiego, zespalającą masy z pojęciem wyższego zbiorowego dobra, z państwem, przełamującą pierwotny osobniczy instynkt samozachowawczy na korzyść instynktu społecznego.

Wydaje się zrozumiałe, że dla utrzymania zdolności i sprawności życiowej organizmu państwowego konieczną jest decentralizacja administracji państwowej w postaci systemu administracji samorządowej ze wszystkimi istotnymi dla niej cechami. Jakie to cechy?

Pierwsza z nich, to *samodzielność gospodarcza samorządu*. Oczywiście samodzielność ta nie może być nieograniczona. Z natury rzeczy uzależniona jest od ustaw państwowych, jak każda zresztą jednostkowa samodzielność gospodarcza, a ponadto podporządkowana kontroli władzy nadzorczej. Kontrola ta nie może iść tak daleko, ażeby samodzielność gospodarcza samorządu stała się fikcją, ażeby samorząd był doprowadzony właściwie do funkcji opiniodawczej, a wszelkie decyzje pozostawały w ręku władzy nadzorczej. To kłóciłoby się z elementarnym prawem obywatelskim zarządzania przez zainteresowanych własnymi sprawami, zmniejszałoby odpowiedzialność społeczną ogółu ludności i zainteresowanie jej sprawami publicznymi. Dlatego też kontrola gospodarczej działalności samorządu winna odnosić się do jej formalnej i materialnej legalności, natomiast kontrola celowości tej działalności, jako zaprzeczenie istotnej samodzielności, winna być wyjęta spod ingerencji władzy nadzorczej. Wyjątek stanowić powinny te momenty działalności gospodarczej samorządu, które obciążają nie tylko obecne pokolenie, ale także bezpośrednio przyszłe pokolenia (pożyczki, zbycie majątku, nieruchomości itd.). W tych wypadkach kontrola przez władzę nadzorczą jest uzasadniona.

Drugą cechą jest *wybieranie organów samorządowych* przez ogół ludności. Nie będziemy tutaj zastanawiać się nad szczegółami ordynacji wyborczej — chodzi bowiem nie o formę, lecz o treść. Ważne jest atoli podkreślenie, że jeżeli ludność ma uznać organa te za swoje, nie może być jej odjęty wpływ na dobór ludzi, którzy przecież w jej imieniu mają stanowić o wspólnych miejscowych sprawach. Mam tu na myśli pomysły, błąkające się zarówno w naszej, jak i obcej publicystyce, nominowanie pewnej części radnych oraz kierowników administracji samorządowej. Nie potrzeba udowadniać, że spaczyłoby to istotę samorządu i przekreśliło najcenniejsze jego walory w postaci wytwarzania się w szerokich masach poczucia współrządzenia i współodpowiedzialności za tok spraw publicznych w państwie. Nie znaczy to, ażeby wpływ ogółu ludności na dobór kierownictwa administracji samorządowej, będącej niewątpliwie organem administracji państwowej, miał być nieograniczony. Wpadlibyśmy wówczas w drugą krańcowość, która byłaby zabójcza dla zasady jedności administracji publicznej w państwie.

I tu przechodzimy wreszcie do trzeciej podstawowej cechy nowocześnie pojętego samorządu, jaką jest *jedność administracji samorządowej z administracją państwową*. Bez tej jedności nie można sobie wyobrazić państwa jako żywotnej organizacji, działającej sprawnie i celowo w każdej ze swych podstawowych komórek. Wszystkie argumenty, które przytoczyłem za utrzymaniem szerokiego samorządu z racji konieczności zespolenia mas ludności z państwem, przemawiałyby przeciwko samorządowi, gdyby miało nie być zharmonizowania działalności samorządu i państwa. W tym wypadku bowiem musiałoby nastąpić rozejście się samorządu i państwa i zamiast zespolenia mas ludności z państwem, wynikałoby zasklepienie się w zaściankach lokalnych interesów, podnoszenie ich do rzędu dobra najwyższego, a w rezultacie prowadziłoby do walki z władzą państwową, jako przedstawicielem siły wrogiej i obcej. Każdy, kto docenia wagę żywotności organizacji państwowej dla narodu, winien sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa, jakie tkwi w samorządzie, jako siły rozsadzającej państwo, w razie braku harmonijnego współdziałania pomiędzy nimi.

Koniecznym warunkiem tego współdziałania jest *jedność administracji publicznej* zarówno formalna jak i psychiczna. Formalna strona jedności wyrazić się musi między innymi w zachowaniu przez władzę państwową pewnego wpływu na dobór czynników kierowniczych samorządu, które są łącznikiem pomiędzy administracją samorządową i państwową, czynników wypełniających zresztą nie tylko funkcje samorządowe, ale także zadania władzy państwowej. Zrozumiałe jest, że przełożony gminy musi mieć zaufanie nie tylko ludności, ale także rządu. Stąd zasada zatwierdzania lub odrzucania wyboru przełożonych gminy przez władzę państwową nie może budzić żadnego zastrzeżenia. I dlatego nie mógłbym się zgodzić ze zdaniem, że rząd winien zatwierdzić każdego, byleby był uczciwym człowiekiem. Uczciwość jest ogromnym walorem i podstawowym warunkiem każdej działalności publicznej. Ale rząd ma prawo domagać się od przełożonego gminy czegoś więcej poza uczciwością i fachowością. Ma prawo, a nawet obowiązek, żądać lojalności w stosunku do siebie. W przeciwnym razie jedność administracji stałaby się fikcją, sprowadzając nieobliczalne szkody zarówno dla gminy, jak i dla państwa.

Do warunków gwarantujących nie tylko prawidłowość gospodarki samorządowej, zgodną z interesem publicznym, ale także zachowanie jedności administracji publicznej, należy bezsprzecznie możność rozwiązania przez władzę państwową organów samorządowych. Uprawnienie to nie koliduje oczywiście z istotą samorządu, jeżeli w zastrzeżonym ustawowo terminie po rozwiązaniu nastąpią wybory. Rozwiązanie ma wówczas charakter odwołania się do ogółu ludności. Rozwiązanie winno być środkiem ostatecznym, podjętym po wyczerpaniu innych uprawnień, przysługujących władzy państwowej, i stosowanym tylko w wypadkach istotnie ważnych, jak przekroczenie kompetencji, naruszenie ustaw, notoryczne niedbalstwo, lub nieudolność, powodujących wyraźną szkodę interesu publicznego.

Jedność psychiczna administracji samorządowej i państwowej jest zagadnieniem znacznie trudniejszym do zrealizowania, niż formalna. Nastąpić może tylko ewolucyjnie jako rezultat zrozumienia właściwej

roli samorządu w państwie przez czynniki społeczne, jak i biurokrację państwową.

Ta trudność może będzie więcej zrozumiałą, gdy, przechodząc od teorii do życia, przypatrzymy się rzeczywistości polskiej.

W Polsce wprowadzona jest, jak wiemy, od czterech zgórą lat, nowa ustawa samorządowa, o której, bez względu na jej niedociągnięcia i błędy, powiedzieć należy, że w zupełności odpowiada powyżej wyłożonym zasadom. Ustawa ta przyczyniła się niewątpliwie do uporządkowania stosunków samorządowych w Polsce, nie była w stanie jednak usunąć tego wszystkiego, co jest istotną przeszkodą jedności administracji publicznej. Ustawy bowiem mogą ułatwiać powstawanie jedności psychicznej, ale jej nie budują.

Jakież to są przeszkody?

Jedna z nich jest głębsza. Tkwi w naszej psychice, wytworzonej za czasów niewoli i pozostałej dotąd w szczątkowej zresztą formie jako bagaż porozbiorowy. Jest to pewna podświadoma niechęć, czy nienawiść, do czynnika rządowego, zaszczepiona w nas przez ucisk państw zaborczych i stąd chęć odgrodzenia się w samorządzie od władzy państwowej, chęć upatrywania w nim instancji obrończej przed wpływem państwa. Może się wydawać to dziwnym, może niechęć swoją niejeden warunkuje innymi przyczynami, najczęściej politycznymi lub osobistymi, ale niemniej u wielu spośród nas taka niechęć podświadoma, pochodzenia porozbiorowego, istnieje.

Druga przeszkoda, to wybitne panowanie czynnika partyjno-politycznego w samorządzie. Zdajemy sobie sprawę, że zupełne wyeliminowanie pierwiastka politycznego z samorządu jest niemożliwe. Stosunki w samorządzie, zarówno jak w państwie, zawsze będą się układać według pewnych prądów społecznych, które znajdą tak czy inaczej swoje odpowiedniki polityczne. Ale musi istnieć pewna granica, której w samorządzie przekroczyć nie wolno. Nie może być przepojony każdy szczegół, każde posunięcie, każde postanowienie tendencją polityczną. Życie gospodarcze bowiem, na którym oparta jest głównie działalność samorządowa, nie znosi tego. Stronnictwa polityczne muszą zrozumieć, że u progu samorządu należy pozostawić cały arsenał zaciekłości i bezwzględności partyjno-politycznej, że należy przestać traktować samorząd, jako bramę wypadową do walki z rządem i jako środek do zdobycia władzy politycznej w państwie. W przeciwnym razie zagraża nam podważenie podstaw organizacyjnych państwa lub zniszczenie samorządu.

Jak niebezpieczna i wadliwa dla życia samorządowego jest supremacja czynnika politycznego, świadczą o tym wypadki, jakie rozegrały się na terenie wielu samorządów zwłaszcza miejskich w Polsce, bez względu na ich skład polityczny.

Byłoby jednak poważną nieścisłością, gdyby przy naszych rozważaniach pominięto drugą stronę, to znaczy władzę państwową. Oczywiście i tam są wśród poszczególnych przedstawicieli tej władzy hamulce dla stworzenia psychicznej jedności administracji publicznej. Jednym z tych hamulców jest dość częste niedocenianie a nawet lekceważenie czynnika społecznego. Zdarza się, że niejeden z przedstawicieli władzy państwowej traktuje samorząd nie jako konieczną i niesłychanie cenną stronę struktury administracyjno - państwowej, ale jako konieczne zło. Niekiedy przypomina to żywo stosunek dawniejszych oficerów niemieckich i austriackich do tak zwanych cywilów, których nazywano krótko i popularnie „cywilną bandą". Taki „cywil", w tym wypadku samorządowiec, nic nie wie, niczego nie umie i nic nie jest wart. Nabić w armatę i wystrzelić. Rozpędzić samorządy, wcielić administrację lokalną do państwowej, a będzie wszystko proste i jasne. Prawda, że proste, ale czy dobre? — Pomijając elementy zasadniczej natury, o których była mowa wyżej, a które niesie w swym dorobku samorząd, braki techniczno-administracyjne wyrównywane są stokrotnie przez ruchliwość elementu społecznego, inicjatywę i bliski kontakt z życiem. Tych walorów żadna administracja państwowa z natury rzeczy wykazać nie może. Powyższe poglądy wśród administracji publicznej nie należą oczywiście do zbyt częstych i spotykane są raczej na niższych szczeblach administracyjnych. Jeżeli jednak znajdą swój wyraz w niewłaściwym stosunku do samorządu, powodują niebywałe zadrażnienie, niechęci i przeciwieństwa, stwarzające zapory psychiczne dla harmonijnego współdziałania.

Niewątpliwie tedy konieczne jest przełamanie przeszkód czy hamulców psychicznych z obydwu stron. Docenia to myślące kategoriami państwowymi społeczeństwo, rozumie rząd.

Kiedyś jeden z poważnych przedstawicieli administracji państwowej powiedział mi, że samorząd — to fortepian, na którym tylko wojewoda czy starosta winien wygrywać melodie.

W odpowiedzi na tę definicję samorządu postaram się sformułować swoją własną, również nienaukową i również instrumentalną, ale odpowiadającą tendencjom, wyłożonym w niniejszych rozważaniach:

Samorząd, to przede wszystkim społeczny instrument, na którym zarówno społeczeństwo, jak i władza państwowa mogą i muszą uderzać w jeden tylko wspólny akord.

AKORDEM TYM JEST DOBRO PUBLICZNE.

Feliks Królikowski

Stwierdzenia najogólniejsze

W n-rze 1/2 za r. bież. „Spraw Narodowościowych" zostały zamieszczone wyniki (tymczasem nieoficjalne) powszechnego spisu ludności z dn. 9. 12. 1931 co do liczby i rozmieszczenia mieszkańców Polski według języków i wyznań.

Nie wchodząc w merytoryczną ocenę ścisłości obiektywnej tych wyników, zaznaczając tylko, że z jednej strony nie znamy powszechnych spisów ludności, bez względu na to, gdzie były przeprowadzane, które by w 100% pokrywały się z faktycznym stanem rzeczy, że z drugiej strony wyniki naszego powszechnego spisu ludności z grudnia 1931 r. na pewno nie są zbyt oddalone od rzeczywistości, wypada ich wymowę scharakteryzować z punktu widzenia politycznego.

W dniu 9 grudnia 1931 r. Polska posiadała ogółem *31.915.779 mieszkańców*, (bez skoszarowanego wojska).

z tego według wyznania:

rzymskich katolików	20.670.051	(64,8%)
greckich katolików	3.328.154	(10,4%)
prawosławnych	3.745.817	(11,8%)
ewangielików	820.293	(2,6%)
mojżeszowych	3.109.187	(9,8%)

według języka zaś:

polskiego	21.991.444	(69,0%)
ukraińskiego	4.434.096	(13,9%)
białoruskiego	987.952	(3,1%)
„tutejszego" (Polesia)	707.088	(2,2%)
rosyjskiego	128.082	(0,4%)
litewskiego	82.555	(0,2%)
niemieckiego	727.991	(2,3%)
czeskiego	29.739	(0,1%)
żydowskiego i hebrajskiego	2.728.760	(8,6%)

Ważną jest rzeczą podkreślić, że ludność rzymskokatolicka w miastach stanowi 5.564.569 ogółu ludności miejskiej (63,7%), we wsiach — 15.105.482 ogółu ludności wiejskiej (65,3%), ludność zaś o języku polskim: w miastach — 5.964.933 (68,4%), we wsiach — 16.026.511 (69,2%), wówczas gdy ludność wyznania mojżeszowego w miastach 2.376.050 (27,3%) , a we wsiach 733.137 (3,2%), ludność greckokatolicka w miastach 317.316 (3,6%), we wsiach 3.010.842 (12,9%), prawosławna — w miastach 180.308 (2,1%), a we wsiach 3.565.509 (15,4%).

Według terytorialnego rozmieszczenia narodu polskiego i mniejszości narodowych najbardziej polskie są województwa zachodnie: śląskie (92,3% mieszkańców jęz. polskiego), krakowskie (91,3%), pomorskie (89,7%) i poznańskie (89,5%); z kolei idą województwa: kieleckie (89,2%), war-

szawskie (88,1%), lubelskie (85,6%) i łódzkie (80,1%). Narodowości niepolskie największe nasilenie wykazują w województwach południowo-wschodnich, gdzie ludność jęz. polskiego w woj. poleskim wynosi 14,5%, w woj. wołyńskim — 16,6%, w woj. stanisławowskim — 22,4%, w woj. tarnopolskim — 49,4%, w woj. lwowskim wraz z 8 czysto polskimi powiatami zachodnimi— 57,8%. W woj. nowogrodzkim ludność języka polskiego wynosi wprawdzie — 52,4%, na podkreślenie jednak zasługuje, że w tym województwie ludność rzymskokatolicka wynosi tylko 40,2%, a w sąsiednim woj. wileńskim — 62,5%, podczas gdy w tymże województwie ludność o jęz. polskim — 59,6%.

Nie chcieliśmy naszych czytelników — niespecjalistów w dziedzinie narodowościowej — nużyć wielką liczbą cyfr, ograniczyliśmy się więc do najniezbędniejszych, lecz i te wystarczą, aby uprzytomnić ich polityczną wymowę.

Polska należy do szeregu państw europejskich, w którym naród, stanowiący większość narodową — naród polski — stanowi bezwzględną i to znaczną większość w stosunku nawet do s u m y wszystkich pozostałych narodowości niepolskich: nie tylko więc w naszej świadomości politycznej, nie tylko dzięki roli historycznej, jaką odgrywał i odgrywa na obszarze, stanowiącym podstawę terytorialną naszego państwa, lecz również z punktu widzenia liczebnego *jest czynnikiem w p e ł n i odpowiedzialnym za losy Rzeczypospolitej*.

Jednocześnie jednak fakt, iż w naszym państwie narodowości niepolskie stanowią około 1/3 c z ę ś c i ogółu obywateli, łącznie około 10 m i l i o n ó w m i e s z k a ń c ó w, wskazuje na *wielką wagę problemów narodowościowych w Polsce*, połączonych ściśle z p r o b l e m a m i w y z n a n i o w y m i.

Problemów narodowościowo - wyznaniowych (w liczbie mnogiej), a nie problemu narodowościowego, czy też wyznaniowego (w liczbie pojedynczej).

Jest to stwierdzenie o wielkiej doniosłości politycznej. Tylko fatalna polityka narodowościowa, błędna co do zasad l u b błędna taktycznie, albo błędna co do zasad i taktycznie, mogłaby doprowadzić do takiego rezultatu, którego nasileniem byłoby, żeby różne co do istoty i charakteru problemy narodowościowe połączyły się w jeden ogólny problem narodowościowy. Kamieniem węgielnym naszej polityki narodowościowej powinien być fakt, że *w naszym państwie nie ma jednego problemu narodowościowego, lecz jest ich tyle, ile odrębnych narodowości* i to indywidualizowanych terytorialnie pod kątem widzenia ich właściwości regionalnych.

To stwierdzenie może ranić zarówno polskiego szowinistę jak i liberała, ale jedynie odpowiada polskiej racji stanu, a w praktycznej polityce narodowościowej, dostosowanej do interesów Narodu i Państwa, a dalekiej od uczuciowego nierozumu prymitywnie pojmowanego egoizmu narodowego lub niewłaściwego, doktrynalnego altruizmu, musi mieć stałe, codzienne, powszechne i wielokrotne zastosowanie.

A to tym bardziej, że w jednych z tych zagadnień — przez wzgląd na powiązania etniczno-narodowe z sąsiadującymi narodami — będziemy musieli w ogromnym stopniu uwzględniać pierwiastki zewnętrznych zainteresowań (niemieckich, litewskich i rosyjskich — tych ostatnich potencjonalnych raczej niż kinetycznych, niemniej jednak również niebezpiecznych), w innych: analogicznych wprawdzie zainteresowań (międzypaństwowożydowskich), ale innego gatunku przez brak w nich cech zainteresowań sąsiedzkich, które są tak bardzo charakterystyczne dla zewnętrznej polityki narodowościowej państw-sąsiadów, że wreszcie w pozostałych może nawet trzeba te zainteresowania uwzględniać, ale nie one, lecz *nasza myśl polityczna*, twórcza i niezależna, uwzględniająca wolę narodu i państwa polskiego wśród narodów i państw międzymorza bałtycko - czarnomorskiego, *winna rozstrzygać* o *wytycznych naszej polityki narodowościowej*.

Kazimierz Malinowski

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Jeszcze w sprawie pojęcia Narodu i Państwa

Dobrze się dzieje, że „Naród i Państwo" tyle miejsca poświęca zagadnieniu obydwu pojęć umieszczonych w tytule tygodnika. Można by rzec, że przeznaczeniem tego właśnie pisma jest wszechstronne oświetlenie zagadanienia, przez publikowanie jak najliczniejszych rozważań, nawet sprzecznych ze sobą i przeciwstawnych sobie. W ten sposób wypełni się powszechnie odczuwany brak sprecyzowania tych pojęć i ich wzajemnego stosunku, a być może, że dyskusja przyczyni się nawet do wypracowania naukowo uzasadnionej hipotezy, zdolnej do odegrania roli programu politycznego Państwa Polskiego.

Z uwagi na potrzebę takiej hipotezy zmuszony jestem zaprotestować przeciwko twierdzeniu p. Korpały (recenzenta pracy prof. Górki, poświęconej zagadnieniu Narodu i Państwa), według którego: „Rozwiązania problematu stosunku narodu do państwa można i należy szukać jedynie na gruncie praktyki i przyzwyczajeń". Kult instynktu dawno już stracił swą aktualność i atrakcyjność, dziwne więc, że jeszcze dziś pokutuje w krytyce i teorii. Znany i nie kwestionowany jest przecież fakt, że szczególnie w odniesieniu do omawianego zagadnienia dotkliwe są rezultaty panowania przyzwyczajeń myślowych, przesądów i nastrojów, prowadzące nie tylko do bezprogramowości, co inaczej powiedziane znaczy — do niewiedzy tego, czego się chce — ale i do coraz powszechniejszej demoralizacji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że „instynktowny" nacjonalizm prowadzi do stosowania metod przede wszystkim negatywnych: podwójnej moralności i bezmyślnej brutalności.

„Praktyka i przyzwyczajenia" nie dały dotychczas żadnych pożytecznych i realnych wskazań postępowania politycznego. Natomiast prawoznawstwo, kierując się przede wszystkim niedocenianą niejako logiką, osiągało rezultaty, choćby w postaci wypracowania tej formuły właściwego stosunku do najistotniejszych spraw państwa, jaką wskazuje p. Drogosław, autor artykułu p. n. „Pojęcie narodu a art. 9 konstytucji". Te rezultaty potwierdzają, że na podstawie „praktyki" nie możemy spodziewać się rozwiązania problemu stosunków międzyludzkich i organizacyjnych. Trzeba uznać, iż — podobnie jak się wojny nie prowadzi systemem gospodarskim — bezkształtną nawałą ludzką i walką jak komu instynkt podyktuje, lecz od dawien dawna stosuje zasady wtłaczania żołnierza w formy czworoboków, szeregów, falang czy tyralier — tak i organizację zbiorowości narodowych czy państwowych i ich ideologię trzeba podporządkować jakiemuś logicznemu systemowi, jakiejś nawet jednostronnej doktrynie. Jedynie określona doktryna może w sposób aktywny skupić obywateli około państwa i wykrzesać dynamikę społeczną, ten puls każdego organizmu społecznego; doktryna bowiem umie wyznaczyć działaniu społecznemu cel i etapy jego realizacji, demokratyzuje ustrój, dając kryteria kontroli, i — co najważniejsze — usuwa mnóstwo zahamowań, jakie tworzy kalejdoskop sprzecznych i nie przemyślanych zapatrywań.

Wbrew pozorom, każda dobrze pomyślana jednostronność doktryn jest ich dodatnią cechą. Zważmy bowiem, że każda decyzja, każdy rozkaz wojskowy jest tak samo jednostronnym wyborem drogi postępowania, gwarantującym tylko większą ilość zysków niż strat, przy pełnej świa-

domości, że dla osiągnięcia tych zysków konieczna jest ofiara rzeczy niby pominiętych i nie uwzględnionych. Zresztą każda hipoteza naukowa jest, tak samo jak właściwie postawiona i opracowana doktryna, zebraniem całości materiału podległego danemu zagadnieniu, przeprowadzeniem jego klasyfikacji i wyznaczeniem praw, określających wzajemną zależność poszczególnych zjawisk. I tak jak dobra hipoteza jest niezaprzeczalnym motorem postępu danej gałęzi nauki, tak też właściwie wypracowana doktryna może i musi być motorem działalności społecznej. Hipotezy nie są oczywiście wiecznotrwałe, zmieniają się, ulegają poprawkom i często giną zastąpione przez inne. Nie umniejsza to jednak ich znaczenia praktycznego ani poznawczego, przeciwnie, najnowsze badania wymagają nawet od hipotez zdolności do ich obalania, pewnej „wywrotności"[1]).

Niedorozwoj doktryn socjalnych w porównaniu z hipotezami nakowymi był m. i. spowodowany nie dość ścisłym przestrzeganiem zasad bezstronności badań, wszechstronności obserwacji, ścisłości i logiki rozumowania. Przy opracowaniu doktryn zbyt często wysuwały się na plan pierwszy dezyderaty aktualne. Pisano dla tej lub innej grupy, w obronie czegoś, lub dla walki z czymś. Dlatego doktryny wyrobiły sobie smutną opinję, czegoś z gruntu fałszywego i „jednostronnego".

Trudno uniknąć nacisku aktualij. W artykułach p. Korpały o książce prof. Górki ciążą one i na recenzowanym i na recenzencie. W pewnej mierze ulega im nawet p. Drogosław. Wydaje mi się jednak, że najbardziej grzeszy pod tym względem p. Korpała. I tak np. wypowiada twierdzenie, jakoby: „nie można rozpatrywać stosunku narodu i państwa na gruncie definicji, choćby posiadającej wszystkie cechy (pozory) słuszności, ale trzeba to robić zawsze z myślą o Polsce, jej rzeczywistości i układzie sił". Pomijam zagadkową równorzędność traktowania terminu „cecha" i „pozór". Dla uproszczenia sprawy postawię od razu twierdzenie, iż — odwrotnie — nie można rozpatrywać stosunku narodu i państwa z myślą o Polsce... ale trzeba to robić na gruncie definicji. Przecież definicja nie jest czymś dowolnym, jakimś apriorycznym pomysłem, lecz jednym z ostatnich ogniw badania, jego kwintesencją, a jeżeli badacz często odwraca kolejność rozumowania, to czyni to dla uproszczenia wykładu. Prof. Górka zastosował więc metodę niewątpliwie dobrą i właściwą. Inna sprawa, że ta lub inna definicja może nie być słuszna i nie przystawać do rzeczywistości, nie może to być jednak podstawą krytyki definicji i hipotezy w ogóle, jako form badawczych.

Zbyt wielka waga zagadnień społecznych nie całkowicie tłumaczy fakty zbytniej tendencyjności. Trochę jest w tym wygodnictwa, więcej stronniczości i lęku przed ewentualnością obalenia niby to znojnie wypitraszonych zapatrywań. Skutek zaś jest ten, że sprawy tak b. naglące pozostają nieopracowane i oparte na instynktach, praktykach i tradycjach. Aby się zabezpieczyć przed stronniczością, trzeba stosować nawet drastyczne zabiegi i starać się np. odrzucić całą rzeczywistość polską. Język powinien być jasny i pozbawiony pięknie brzmiących określeń, apelujących do sentymentu bez pokrycia myślowego. Doktryna obwarowana takim obiektywizmem musi się okazać nie tylko poprawną naukowo, ale i najbardziej skutecznym narzędziem wszelkiej działalności społecznej.

Na tle powyższego, bardziej przekonywające jest stanowisko prof. Górki niż p. Korpały, który krytykuje pierwszego, twierdząc, iż: „Państwo Polskie powstało nie tyle „celem spełnienia wobec przynależnych jednostek potrzeb ich egzystencji" (bo te potrzeby spełniało również obce państwo), ile dla wzmożenia twórczości tych jednostek i zapewnienia narodowi warunków realizacji jego ideałów i aspiracji dziejowych", albowiem państwa obce nie spełniały wszystkich potrzeb jednostek, dezyderat zaś wzmożenia twórczości mieści się w definicji prof. Górki, zaś „ideały i aspiracje dziejowe" są słowami mało określającymi, zaczerpniętymi ze skarbczyka, na którego dnie drzemią prawdy o mitycznych przeznaczeniach wyznaczonych przez los każdemu narodowi.

Również prof. Górka nie jest wolny od pewnej tendencji. Słusznie więc pisze p. Korpała, że: „Dość niespodziewanie wyznaje autor na końcu książki, że podstawa całego jego rozumowania... jest... ujmowana pod kątem realizacji celów narodu polskiego". Sam autor zresztą zaznacza, że praca jego jest dokonana: „przede wszystkim pod kątem widzenia aktualnych potrzeb psychiki polskiej". Ten wzgląd wpłynął zapewne na przeprowadzenie koncepcji o „nadprzedsiębiorstwie" państwa, którego formalnymi właścicielami są wszyscy obywatele, a faktycznym — naród polski. Chodziło o uzasadnienie roli kierowniczej narodu polskiego, co było zadaniem trudnym, wobec słusznie zaobserwowanych sprzeczności jego interesów z interesami państwa. Gdyby to nie ciążyło jako „zadanie", rozwiązanie zagadnienia może byłoby prostsze—takie, jak to podaje p. Drogosław, który słusznie zauważa, iż właścicielami państwa mogą być jedynie — wszyscy obywatele. Dodałbym, że przewaga jednej grupy, w tym wypadku narodu polskiego, wynikałaby z jej liczebnej większości i faktu posiadania „poczucia odpowiedzialności za państwo", czynnika słusznie wysuniętego przez p. Korpałę.

W moim przekonaniu właściwe rozwiązanie zagadnienia osiągnąć można przy uwzględnieniu nie tylko materiału historycznego, jak to uczynił prof. Górka, lecz również socjologicznego — w najszerszym zakresie tej dyscypliny, obejmującym właściwą socjologię, psychologię, etnologię i prawoznawstwo. Wówczas okazałoby się zapewne, że w wielu wypadkach państwo nie jest narzędziem, formą zewnętrzną lub wyrazem organizacyjnym narodu, lecz zjawiskiem odrębnym, i tak jak każde dzieło ludzkie zdolnym do niezależnego i samoistnego życia. Jego narodzinom towarzyszyła nie tylko potrzeba zrzeszania się, lecz w równej mierze ekspansja władczych instynktów jednostki, wychodząca często poza potrzeby grupowe[2]). Historia polityczna Europy notuje przede wszystkim nazwiska jednostek, rewolucyjnie przekształcających zastaną rzeczywistość społeczną.

W ogromnej zmienności układów społeczno-politycznych państwo okazało się bardziej stałym czynnikiem aniżeli naród, co jest oczywiste wobec większej określoności terytorialnej państwa, stwarzającej rzeczywistość bardziej skonkretyzowaną niż naród, który pod tym i wieloma innymi względami jest zjawiskiem bardziej płynnym. Czynniki geopolityczne, ekspansja i imperializm jednostek i grup, dziejami wyznaczona równowaga sprzecznych interesów, stworzyły państwa jako pewne stałe, niezależne od podziału narodowego i rasowego. Natomiast zespoły rasowe i narodowe powstały częściowo przed okresem formowania się państw współczesnych (i dlatego nie zawsze pokrywają się z nimi), ulegają przemianom w ramach tych ostatnich i w zależności od nich[3]).

Z tego powodu sformułowanie definicji narodu natrafia na tak znaczne i zdaje się, nieprzezwyciężalne przeszkody, szczególnie, jeśli się usiłuje znaleźć jakieś zasadnicze i podstawowe znamię, w którym by można zawrzeć całą istotę pojęcia „naród". Tej roli nie spełni również cecha polityczności, wysunięta przez p. Drogosława, pragnącego odróżnić przy jej pomocy naród od narodowości. Podobną myśl wypowiedział już Mazzini, według którego grupa narodowa musi: „być zespolona wspólnością zasad, zamiaru i prawa, bez tego jest tylko grupą etniczną (gente)". Prof. Handelsman, za którym podaję ten cytat, daje formułę bardziej szczegółową „...trzy pierwiastki: jedność, niezależność i samorządność składają się razem na cel właściwy wszelkiego ruchu narodowościowego, który można by nazwać dążeniem do autarchii politycznej".[4]) Tej niezmiernie trafnej obserwacji prof. Handelsman nie włącza jednak jako elementu do definicji narodu, lecz traktuje jako określenie wła-

---

[1]) Zygmunt Zawirski: W sprawie syntezy naukowej. „Droga", 1937, nr XII, Str. 976.

[2]) Prof. Handelsmann, przedstawiając poglądy St. Zakrzewskiego, m. in., pisze: „Organizowanie państw przypisywał awanturniczej przedsiębiorczości typów silnych, co wytwarzają przemoc, wywołującą ruch na polu stosunków ludzkich". I dalej, słowami zmarłego historyka: „Na przestrzeni pięciu wieków Piastowie są głównym żywiołem twórczym... Oni są właściwym państwem... Oni są źródłem polskiej narodowej świadomości". M. Handelsmann: Stanisław Zakrzewski. 1873—1936. „Droga", 1937, nr VI. Str. 426 i 7.

[3]) Najnowszym przykładem mogą być Brazylijczycy, o których powiedział jeden z ich polityków w rozmowie z J. Kossowskim: „My musimy ciągle jeszcze pamiętać o tym, że jako państwo, terytorialnie jesteśmy scaleni, ale jako naród ciągle się jeszcze krystalizujemy". Rozmowa z „integralistą" brazylijskim. „Gazeta Polska", 17.VI, 1937.

[4]) Marceli Handelsmann: Rozwój narodowości nowoczesnej. (1923), str. 15/16.

ściwości i celów ruchów narodowościowych Elementem definicji bowiem nie może być „polityczność" ani „autarchia polityczna", gdyż znamię to, jako również właściwe wielu innym grupom społecznym o szerszym zakresie działania, nie jest czymś specyficznie określającym pojęcie „naród".

Zresztą przy akcentowaniu polityczności, trudno byłoby stworzyć z ogółu obywateli polskich — naród, cel, jaki wysunęła p. Drogosławowi analiza kwietniowej konstytucji. Słuszny ten dezyderat ma, moim zdaniem, możliwości realizacji jedynie przy pojmowaniu państwa jako elementu samoistnego — hipotezy, którą na innym miejscu starałem się dokładniej uzasadnić.

A. Z.

„Iura stolae"

Stojąc na straży całości spraw naszego życia zbiorowego, nie pożałował „Naród i Państwo" na łamach swych miejsca i zagadnieniu b. specjalnemu: rejestracji stanu cywilnego.

Zaznaczywszy w szeregu artykułów i wzmianek pierwszorzędne znaczenie tej gałęzi administracji państwowej i wykazawszy opłakany jej stan prawny i faktyczny oraz opłakane w dziedzinie publiczno-prawnej stanu tego następstwa, tytułem jednej z wielu ilustracji przytoczył „Naród i Państwo" fakt, iż na obszarze samego m. Wilna na ogólną ilość 25.500 z górą dzieci zapisanych do szkół powszechnych, ponad 10.500, czyli w przybliżeniu 41%, obywa się bez aktów urodzenia, dla tej prostej przyczyny, że akty te nigdy w ogóle sporządzane nie były.

Wydaje się, że to zgoła nieprawdopodobne i nie do pomyślenia gdziekolwiek indziej zjawisko, oddziaływujące w sposób tak oczywiście ujemny na normalny rozwój organizacji państwowej i jednostkowej, zasługuje, by zająć się bliżej rozważeniem, jeśli nie jedynych, to przynajmniej najistotniejszych jego przyczyn.

Świadomość podstawowego w strukturze nowoczesnego państwa znaczenia ewidencji ruchu naturalnego ludności przeniknęła była już dawno wszystkie kraje zachodnio-europejskie.

W praktyce świadomość ta przejawiła się:

1) w wyodrębnieniu niewspółmiernych pojęć rejestracji stanu cywilnego w ścisłym tego słowa znaczeniu i rejestracji towarzyszących faktom urodzenia i śmierci, tudzież aktom ślubu, obrzędów religijnych, co znalazło wyraz w powołaniu do życia specjalnych świeckich urzędów stanu cywilnego;

2) w upowszechnieniu instytucji rejestracji stanu cywilnego przez udostępnienie jej ogółowi ludności, co z kolei znalazło wyraz w ustanowieniu bezpłatności[1]) świadczeń urzędników stanu cywilnego, przynajmniej w zakresie sporządzania aktów urodzenia i śmierci.

U nas niestety inaczej.

Spośród państw katolickich[2]) — poza Litwą i, w pewnej mierze, Austrią — jesteśmy jedynym krajem w Europie, a wśród cywilizowanych jedynym bodaj na kuli ziemskiej, który pod względem pomieszania w omawianej dziedzinie rzeczy par excellence świeckich z czysto duchownymi, i publiczno-prawnych z prywatnymi, nie wybiegł dotąd poza poziom pojęć średniowiecza.

Sporządzanie aktów stanu cywilnego, wyjąwszy stan rzeczy na obszarze województw zachodnich, łączy się u nas, jak wiadomo, dotychczas z dopełnianiem obrzędów religijnych i, z nielicznymi odchyleniami, pozostawione jest całkowicie przedstawicielom poszczególnych wyznań.

Akt stanu cywilnego oceniany jest nadto potocznie jako akt przede wszystkim natury prywatno-prawnej, na podobieństwo jakiegoś sporządzanego przed notariuszem aktu kupna-sprzedaży, zamiany itp. transakcji.

Stąd w dalszej konsekwencji urzędnik stanu cywilnego, czy pełniący funkcje tego urzędnika, traktuje urząd swój, jako *sui generis* przedsiębiorstwo dochodowe, stąd gorszące targi, jakich urząd ten staje się nieraz widownią przy załatwianiu czynności urzędowych, stąd wreszcie w znakomitej większości przypadków początkiem swym sięga owe wspomniane na wstępie, a stanowiące przedmiot niniejszych rozważań, zjawisko niepokojącego uchylania się zubożałej ludności od rejestrowania urodzeń.

Zagadnienie komplikuje się szczególnie w stosunku do ludności katolickiej, a więc w przytłaczającej siłą rzeczy liczbie przypadków.

Okoliczność ta tłumaczy się faktem, iż w świetle kanonów duszpasterzom, ściślej proboszczom, tytułem wynagrodzenia za posługi duchowne przysługują specjalne opłaty, znane pod nazwą „iura stolae" („prawa stuły") (can. 1097 § 3,1234, 1235).

Te to „prawa stuły", jako autonomiczne uprawnienia Kościoła, przeciwstawia też stale duchowieństwo katolickie wszelkim próbom państwowego unormowania kwestii w drodze ujednostajnienia na obszarze całej Rzeczypospolitej opłat za czynności *wszystkich* urzędników stanu cywilnego, bez względu na duchowny czy świecki ich charakter.

W imię ścisłości zauważyć wypada, że ustawodawstwo z okresu przed odrodzeniem państwowości polskiej, bez większych, jak się zdaje, zastrzeżeń ze strony Kościoła, normowało *wszelkie* kategorie opłat, związanych z czynnościami osób duchownych, rozróżniając ściśle opłaty za sporządzenie aktu stanu cywilnego z jednej i za dopełnienie posługi religijnej z drugiej strony.

Rozróżnienie to znalazło dobitny wyraz w prawie o urządzeniu duchowieństwa świeckiego rzymskokatolickiego („wypis z protokółu Sekretariatu Stanu Królestwa Polskiego o ustaleniu i polepszeniu bytu duchowieństwa świeckiego rz.-kat. z dnia 14/26 grudnia 1865 r. — Dz. Pr. Król. Pol. t. 63, str. 377/379).

Traktujący o opłatach za sporządzanie aktów stanu cywilnego osób wyznania rz.-kat. oraz za wydawanie z aktów tych wypisów art. 29 omawianego prawa przeznaczał opłaty te „na korzyść zawiadujących parafiami, jako wynagrodzenie za trudy ich w tej czynności".

Przedmiotem kolejnych, tj. 30 i nast. artykułów tegoż prawa, były już expressis verbis wymienione „opłaty pobierane za spełnianie posług religijnych (iura stolae)", częściowo przeznaczone na rzecz służby kościelnej, częściowo pozostawione do dyspozycji i dozoru kościelnego na niezbędne wydatki, związane z nabożeństwami, następnie z upiększeniem kościoła, naprawami itp.

Pierwsze z omawianych opłat normował dekret Króla Saskiego i Księcia Warszawskiego z dnia 23 lutego 1809 r. (Dz. Pr. Ks. Warsz. t. I str. 195 i nast.). Dekret ten, acz formalnie po dziś dzień obowiązujący, ze względu na oczywiste i z odległości 128 lat zrozumiałe nieprzystosowanie do istniejących stosunków społecznych, gospodarczych i walutowych, kwalifikuje się na równi z innymi obowiązującymi w tej dziedzinie przepisami do archiwum akt dawnych.

Drugą kategorię opłat, a więc „iura stolae", ustalały na zasadzie tych samych co wspomniany dekret kryteriów podziału ludności na trzy klasy, wedle stopnia zamożności, rozporządzenia Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 30 grudnia 1818 r. Nr. 1733, i z dnia 19 lipca i 18 października 1824 r. oraz rozporządzenie Dyrektora Głównego Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych z dnia 9/21 marca 1865 r. r. 1670/6500 (Zbiór przepisów odnoszących się do czynności rządów gubernialnych i naczelników powiatowych, wydział wyznań, dział dotyczący wyznania rz.-kat., Warszawa 1865 r. str. 47/51 i 54/55).

Ta ostatnia taryfa, niewątpliwie uzgodniona z władzami kościelnymi, zawierała znamienne a idące całkowicie po linii naszych założeń, pozycje[3]):

„akt chrztu — bezpłatnie,
„chowanie ciche — bezpłatnie".

Należy żywić przekonanie, że rozważania niniejsze za rok, dwa najdalej, okażą się już na szczęście bezprzedmiotowe, że i w tej także dziedzinie „podciągniemy się wzwyż" i doczekamy raz przecież prawdzi-

---

[1]) Porównaj w tym względzie, m. in., art. 177 i nast. szwajcarskiego prawa o aktach stanu cywilnego z dnia 18 maja 1928 r., art. 2 belgijskiego rozporządzenia z dnia 25 maja 1827 r., § 16 niemieckiej ustawy z dnia 6 lutego 1875 r. o urzędowym stwierdzaniu stanu cywilnego (Dz. Ust. Rz. nr 4, str. 23 i nast.), taryfę obowiązującą francuskich urzędników stanu cywilnego i t. p.

[2]) W państwach akatolickich duchowno-świecki charakter rejestracji stanu duchownego utrzymał się dotąd częściowo jedynie w prawosławnej Jugosławii, całkowicie zaś w Szwecji, co jest logicznym wypływem jednolitego wyznaniowo składu ludnościowego tego kraju, jak również państwowego charakteru jego Kościoła.

[3]) Podobnie mutatis mutandis regulowało kwestię ustawodawstwo obowiązujące na obszarach dzisiejszych województw południowych.

wych, świeckich, odpowiedzialnych przed Państwem, ogółowi ludności dostępnych, urzędów stanu cywilnego.

Wówczas odpadnie potrzeba zajmowania się przez czynniki świeckie prawami stuły i będą one mogły być pobierane do woli w rozmiarach wytyczonych wyłącznie własnymi interesami Kościoła i dobrem religii.

Dopóki wszakże to nie nastąpi, dopóki w jednym ręku ześrodkowane będą czynności urzędnika stanu cywilnego i duszpasterza — Państwo, jako bezpośrednio zainteresowane, nie może w sprawie tej pozostawać neutralne.

Przełożonym parafii katolickich co rychlej przedstawiona być też winna przez władze nadzorcze konieczność przestrzegania w jak najszerszym zakresie wspomnianych wyżej zasad bezpłatności posług religijnych, chrztu zaś i pogrzebu w szczególności.

Nie będzie to ingerencja w wewnętrzne sprawy Kościoła, jako że w istniejącym stanie rzeczy sprawa czysto kościelna nie jest. Ot, nawiązanie po prostu do wchodzących w krąg b. istotnych zainteresowań Państwa elementarnych prawd ewangelicznych, zasad prawa Bożego (św. Jan Chrzciciel) i kościelnego, wedle których wszak również *„spełnienia posług religijnych nie wolno uzależniać od opłaty, chyba że ktoś żąda szczególnej formy"* (can. 736, 463).

Nie można nie przyznać, że w ramach obowiązujących systemów prawa o aktach stanu cywilnego oraz w związku z ustanowioną obowiązującymi przepisami ustawowymi i umownymi zasadą bezpłatności całego szeregu świadczeń w tej dziedzinie — położenie materialne urzędnika stanu cywilnego i osób funkcje te pełniących okazać się może nieraz ciężkie. Ale to trudno. Niekorzystne usytuowanie jest dziś udziałem wszystkiej szarej braci urzędniczej. Niepoddawanie się cierpliwie temu stanowi w istniejącej sytuacji finansowej Państwa nie licowałoby z godnością umysłowych pracowników publicznych w ogóle, a cóż dopiero z godnością tych, co z samej natury przyjętych święceń kapłańskich powołani są do wyrzeczenia się korzyści doczesnych i służby bezinteresownej.

Jakkolwiek bądź, istniejący stan rzeczy, przy którym samowolnie wymierzane opłaty odstraszają najszersze warstwy ludności od zeznawania faktów urodzenia, ukrócony być winien bezzwłocznie.

Niepodobieństwem jest, by na obszarze jednego i tego samego okręgu administracyjnego, w obrębie jednego nieraz powiatu, koszt sporządzenia aktu urodzenia, a więc *aktu zeznawanego nie tylko w interesie prywatnym, ale przede wszystkim w interesie publicznym*, w zależności od tego czy innego wyznania strony, w zależności od takiego czy innego nastawienia osoby akt sporządzającej — wahał się w granicach od 1 do 100 złotych.

Urząd stanu cywilnego, powtarzamy, przedsiębiorstwem dochodowym nie jest i z istoty swej być nie może!

Państwo w dobrze zrozumiałym interesie własnym oraz w interesie najszerszych warstw ludności, musi znaleźć środki, by w ten czy inny sposób, jednolicie i zgodnie z duchem czasu, kwestię tę na całym swym obszarze unormować [1]).

---

[1]) Unormowaniem tym objąć należałoby jednocześnie kwestię wzorów ksiąg stanu cywilnego oraz wzorów wypisów z tych ksiąg. Reforma w tej dziedzinie iść winna w kierunku usunięcia obowiązującego na obszarze województw środkowych systemu sporządzania aktów sposobem protokólarnym, na podobieństwo aktów hipotecznych i wprowadzenia systemu rubrykowanych formularzy, jak to przyjęło się na innych obszarach Państwa i praktykowane jest przeważnie za granicą. W ten sposób zaoszczędzi się urzędnikowi stanu cywilnego wiele zbędnej, a nie mało czasu i mitręgi zaprzątającej pisaniny.

ŻYCIE PROWINCJI

Sprawa reformy rolnej na Śląsku

Wobec wygaśnięcia Konwencji Genewskiej zyskała znowu na aktualności sprawa reformy rolnej na Śląsku.

Konwencja Genewska wyłączała swobodę polskich władz ustawodawczych w kształtowaniu ustroju rolnego na górnośląskiej części Województwa Śląskiego. Nie uniemożliwiło to wprawdzie wszelkiego oddziaływania na ustrój rolny, w szczególności nie uniemożliwiało parcelacji dobrowolnej, którą przeprowadzało na Śląsku od dłuższego czasu Towarzystwo Osadnicze „Ślązak". Z danych ogłaszanych co roku w Śląskich Wiadomościach Statystycznych wynika, że w latach 1925 do 1935 rozparcelowano na Śląsku ok. 21.000 ha. ziemi. Jest to rezultat bardzo poważny. Parcelacja objęła głównie południową część, czyli t. zw. nizinę śląską (powiaty pszczyński, rybnicki) i przeprowadzana była głównie pod kątem widzenia upełnorolnienia. Na około 12.000 kupujących było ponad 6.000 małorolnych. Duży postęp poczyniono również w zakresie przystosowania nieużytków do uprawy. Przeprowadzono meliorację ca. 5.000 ha. Jako ujemne strony dotychczasowej parcelacji podkreśla się zwykle zbyt wolne tempo przewlaszczeń oraz stosunkowo wielkie zadłużenie nowonabywców. Z 12.000 nabywców otrzymała przewlaszczenie zaledwie 1/3. Nic więc dziwnego, że sprawa ta wywołuje jeszcze duże poruszenie w sferach zainteresowanych, zrzeszonych częściowo w Związku Drobnych Dzierżawców Województwa Śląskiego. Stosunkowo wysokie zadłużenie wynika przede wszystkim z wysokiej ceny ziemi na Śląsku. W Zagłębiu Węglowym przekracza cena jednego hektara ziemi 2.000 zł., w innych częściach waha się w granicach 1800 zł.

Sprawa reformy rolnej na Śląsku posiada swoje specyficzne oblicze. Jeżeli chodzi o momenty socjalne, przemawiające za reformą ustroju rolnego na Śląsku, to na pierwszy plan wysuwa się sprawa upełnorolnienia wielkiej ilości gospodarstw karłowatych do 3 ha. W Zagłębiu Węglowym stanowią gospodarstwa karłowate zgórą 90% wszystkich gospodarstw. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę, że stanowią one specjalny typ, który określić można jako typ gospodarstwa rolno-robotniczego, w którym główne źródło utrzymania właściciela leży w zatrudnieniu w przemyśle, oraz fakt bliskości wielkich centr przemysłowych, stwarzający szczególną opłacalność gospodarki warzywnej, to problem nie byłby tutaj najtrudniejszy. Ale i w innych okolicach Województwa Śląskiego ilość gospodarstw karłowatych jest bardzo wielka. Na nizinie śląskiej (pow. pszczyński, rybnicki i część bielskiego) stanowią one 72%, w pow. cieszyńskim i wyżynowej części pow. bielskiego ok. 70% (dane z r. 1930). Najkorzystniej pod tym względem przedstawia się pow. lubliniecki, gdzie ilość gospodarstw karłowatych sięga połowy wszystkich gospodarstw. Ogółem więc trzeba obliczać gospodarstwa karłowate na Śląsku na 3/4 wszystkich gospodarstw. Drugim momentem o charakterze socjalnym, to wielokrotnie podkreślany fakt, że gdyby się nawet liczyć z powrotem najlepszej koniunktury przemysłowej na Śląsku, to zawsze jeszcze miałoby się do czynienia z zagadnieniem pewnej nadwyżki sił, których nie możnaby było zatrudnić w przemyśle. Najlepsza nawet koniunktura przemysłowa nie wchłonie całej liczby bezrobotnych. Jest to prosta konsekwencja normalnego rozwoju maszynizmu. Problem zatrudnienia tej nadwyżki poza granicami Śląska nie przedstawia się również różowo. Gdyby zaś istniały możliwości ku temu, to nie jest tu obojętny fakt trudnej dostosowalności psychicznej Ślązaka do innych warunków gospodarczych. Pozostaje przeto liczyć na to, że choć część nadwyżki sił produkcyjnych da się umieścić na roli w zmienionym ustroju rolnym na Śląsku.

Poza wymienionymi względami socjalnymi istnieje jednak wzgląd natury narodowej i państwowej. Wielka własność na Śląsku jest niemal w zupełności w rękach niemieckich (ponad 90%). Na kresach państwowych ma to znaczenie szczególne.

Na tle powyższego występuje wyraźnie doniosłość pytania, jaka jest przyszłość reformy rolnej na Śląsku? Pewien materiał w tym kierunku dały przeprowadzane przed kilku miesiącami rozważania na temat spraw rolnych Górnego Śląska w Komisji Budżetowej Sejmu Śląskiego. Interesujący był szczególnie referat zastępcy naczelnika Wydziału Rolnictwa Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, p. Hołowieckiego. Ogólny obszar majątku wielkiej własności na Górnym Śląsku ocenił p. Hołowiecki na 136.000 ha. W powierzchni tej mieszczą się lasy, których obszar wynosi 82.000 ha. Wyłączenia z tytułu minimum posiadania dla właścicieli rozparcelowanych gruntów według ustawy o reformie rolnej należałoby ocenić na ok. 12.500 ha. Po odliczeniu więc 94.500 ha z tytułu obszaru lasów i wyłączeń, pozostałby zapas ziemi ok. 41.000 ha. Nie jest to jeszcze ostateczny zapas ziemi dla reformy rolnej. Odliczyć trzeba bowiem z kolei pewne tereny w obrębie administracyjnym miast, w sferze interesów mieszkaniowych ośrodków fabrycznych, wreszcie tereny niedostatecznie dostosowane do parcelacji. Odliczywszy tedy w związku z tym dalsze 15—25%, otaksował referent zapas ziemi, pozostający do dyspozycji na właściwe cele reformy rolnej, na ok. 30.000 — do 35.000 ha ziemi.

Ostatnia cyfra nie pozwala snuć zbyt optymistycznych wniosków, na temat możliwości umieszczenia na roli nadwyżki bezrobotnych. Większość zapasu ziemi musi być z natury rzeczy obrócona na upełnorolnienie gospodarstw karłowatych. Do tego celu będzie trzeba przeznaczyć ok. 20.000 ha. Swobodniejsza dyspozycja istnieje zatem jedynie w ramach 15.000 ha ziemi. Miałyby one być przeznaczone na utworzenie pewnej ilości gospodarstw dla obecnej służby folwarcznej, na powiększenie zapasu ziemi dla działek robotniczo-rzemieślniczych podmiejskich, dla samodzielnych gospodarstw specjal-

nych i dla odpowiednio większych gospodarstw wzorowych tam, gdzie trzeba będzie wykorzystać istniejące budynki folwarczne rozparcelowanych majątków.

Zagadnienie upełnorolnienia gospodarstw karłowatych wiąże się najściślej z ustaleniem typu i wielkości gospodarstwa samowystarczalnego w warunkach śląskich. Sprawa przedstawia się rozmaicie w różnych okolicach Województwa Śląskiego, które należy do najbardziej zróżniczkowanych pod względem charakteru gospodarczego. To też ankieta Głównego Urzędu Statystycznego, przeprowadzona na temat koniecznych rozmiarów gospodarstwa samodzielnego, dała wyniki dosyć rozbieżne, a mianowicie: dla pow. katowickiego 5,1 ha., dla pow. świętochłowickiego 5,4 ha., dla pow. pszczyńskiego 7,7 ha., dla pow. rybnickiego 7,3 ha., dla pow. tarnogórskiego 7,9 ha., dla pow. lublinieckiego 6,3 ha, dla pow. bielskiego 5,3 ha., dla pow. cieszyńskiego 5,8 ha. W danych tych, które — jak podkreślono — zebrane były w drodze ankiety wśród zainteresowanych sfer rolniczych, uderza stosunkowo wysokie minimum dla gospodarstw na ziemiach lepszych (np. pow. pszczyński), a stosunkowo niskie dla ziem bez porównania gorszych (Zagłębie Węglowe). Tłumaczy się to jednak — jak stwierdzają znawcy problemu — stałym zjawiskiem, że rolnik gospodarujący na ziemi lepszej żyje w większym dostatku i wyżej ocenia swoje minimum egzystencji. Nadto w Zagłębiu Węglowym występuje specjalny typ gospodarstw rolno-przemysłowych, które stanowią właściwie drugorzędne źródło utrzymania. Wydaje się, że objektywne badania mogłyby doprowadzić do pewnej korektury przytocznych cyfr, wynikających z ankiety, z korzyścią dla ilościowych możliwości parcelacyjnych i bez straty dla gospodarczego znaczenia nowych jednostek rolnych. Problem wielkości samodzielnego gospodarstwa jest zresztą do tej pory sporny i stanowi przedmiot żywej polemiki.

Zagadnieniem wielkiej doniosłości z punktu widzenia przyszłej reformy rolnej na Śląsku jest sprawa doboru osób, które mają z niej korzystać. Kresowe położenie Śląska wymaga, by każdy nowoosiedlony, czy upełnorolniony, stał na wysokim poziomie świadomości narodowej. To też słuszne były te głosy w debacie rolnej na terenie Sejmu Śląskiego, które żądały jak najszerszego uwzględnienia w podziale ziemi tych, którzy umieli z bronią w ręku wystąpić w obronie ziemi śląskiej. Głosy te przestrzegały przed błędami, których nie ustrzeżono się przy parcelacji wielkiej własności na Śląsku Cieszyńskim.

Trzeba by na roli śląskiej osiadł obywatel polski, świadomy swych zadań na wysuniętej placówce Rzeczypospolitej.

NA MARGINESIE

KTO BĘDZIE STRZEGŁ IMIENIA?

Artykuł p. Zarzyckiego w pierwszym numerze „Młodej Polski", miesięcznika wychodzącego pod redakcją Jerzego Rutkowskiego, oficjalnego zastępcy płk. Adama Koca w zakresie prac wychowawczych Obozu Zjednoczenia Narodowego, wywołał szczególnie ożywioną dyskusję.

Powodem tej dyskusji jest niewątpliwie fakt pośredniego związania z wyłożonymi w artykule tezami osoby i imienia szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego i równocześnie Prezesa Związku Legionistów, płk. Adama Koca.

Fakt ten, którego charakteru i znaczenia nie można dotąd osądzić, gdyż umieszczenie na wstępie numeru odezwy płk. Koca nie musi być uważane za pełne zsolidaryzowanie się tego ostatniego z treścią wszystkich artykułów — nie pozwala w istocie na potraktowanie artykułu p. Zarzyckiego jako tylko niepoważnego wyskoku młodzieńca. A jest rzeczą podstawowego znaczenia, czy mamy do czynienia tylko z wyskokiem, czy też z zapowiedzią kierunkowego sposobu przedstawiania przeszłości na użytek i potrzeby przyszłości. W tym drugim wypadku sprawa jest zupełnie zasadnicza i szczególnie ważna.

Artykuł p. Zarzyckiego jest zjawiskiem — użyjmy określenia łagodnego — wysoce nieprzyjemnym. Nie przez wyrażone w nim poglądy polityczne, nie przez nieposzanowanie historii, nawet nie przez naiwną i poniżającą formę rzekomego poszanowania Józefa Piłsudskiego, lecz przede wszystkim przez poziom intelektualny, przez specyficzny prymitywizm myślenia.

Pierwszym warunkiem ścisłego i logicznego myślenia jest dbałość o zachowanie właściwego znaczenia słów. Nie można mienić się uczniem Romana Dmowskiego i nie znać poszanowania słowa. Nie można nie znać poszanowania słowa i chcieć być wychowawcą młodzieży. Nie można być wyznawcą haseł, którym przez nieposzanowanie słowa odbiera się całą treść istotną.

Pan Zarzycki przedstawia się jako nacjonalista. Z całego sposobu wyrażania się w innych kwestiach można osądzić go nawet jako ultra nacjonalistę. Lecz jeśli ni stąd ni zowąd przeczytamy zdanie „nacjonalistą był Wielopolski, ale nacjonalistami byli również Traugutt, Dołęga - Sierakowski lub ks. Brzóska, nacjonalistą jest Dmowski, ale jakże wyraźnym nacjonalistą był Piłsudski..."— to należałoby mniemać, że mamy do czynienia raczej z jakimś walenrodycznym działaniem, które przez rozkład pojęć chce wywołać rozkład kierunku. Przenoszenie znaczenia dzisiejszego nacjonalizmu do stosunków roku 1863 jest absurdem. Określanie Józefa Piłsudskiego jako „jakże wyraźnego nacjonalisty" jest fałszem zarówno w stosunku do Józefa Piłsudskiego jak w stosunku do nacjonalizmu. Jeśli federacyjne plany Józefa Piłsudskiego, jeśli sposób załatwienia przez Niego sprawy wileńskiej — były przejawami nacjonalizmu, to w czym leży istota tego ostatniego kierunku i jakie jest znaczenie samego słowa nacjonalizm?

Czy to jest istotnie walenrodyzm byłego nacjonalisty? — Nie, zapewne jest to tylko skutek pomieszania słów i to słów bardzo prostych. Panu Zarzyckiemu chodzi zapewne tylko o to, że wszyscy przez niego wymienieni byli patriotami. Lecz czy można być programowym nacjonalistą i nie znać właściwego znaczenia słowa, które się jako hasło uznaje?

A może ma to być celowe zatarcie znaczenia różnic dla ułatwienia kompromisu dotychczas rozbieżnie myślących czynników? — Zapewne, tego rodzaju tendencja może mieć w danym wypadku miejsce. Lecz ta tendencja również napewno nie jest zdrowa. W jednym z poprzednich numerów użyliśmy określenia, że najpoważniejszym niebezpieczeństwem dla wewnętrznych stosunków Polski jest ciasnota pojęć i wynikająca z niej anarchia działań. Tego niebezpieczeństwa nie usunie się drogą wytwarzania pozornej zbieżności przez propagandę powszechności nieporządnego myślenia. Gdyby to ostatnie miało być nawet czynnikiem ułatwiającym współdziałanie i zjednoczenie dotąd rozbieżnych grup i jednostek, to skutek i wartość tego współdziałania zostaną niepomiernie pomniejszone. Lekceważyć tego nie można. Współdziałanie i konsolidacja nigdy nie są celem samym w sobie. Łatwość ich osiągnięcia tym bardziej nie może być tym celem. Dla tej łatwości nie można decydować się na pochopne składanie na jej ołtarzu tej najpowszechniejszej ofiary naszych czasów, jaką jest według trafnego określenia jednego z publicystów obozu narodowego „ofiara rozumu", zastępująca dawną romantyczną „ofiarę serca".

*

Tyle o stosunku p. Zarzyckiego do nacjonalizmu. Przejdźmy do sprawy, która wywołała najżywszą dyskusję, do stosunku autora artykułu p. t. „Kończymy z tragicznym zatargiem" do historii.

I tutaj punktem głównym jest dziwne w swym prymitywiźmie pomieszanie pojęć. Pan Zarzycki widzi w całej naszej historii, szczególnie zaś w jej okresie porozbiorowym, ciągłość zróżnicowania dwóch typów psychicznych: „statystów i dyplomatów" oraz „żołnierzy". Pierwsi niejako reprezentują „przemyślaną intelektualną myśl polityczną", drudzy — „emocjonalnie porywającą myśl żołnierską". W dalszych rozważaniach zostaje to jeszcze bardziej uproszczone w ten sposób, że pierwszym przyznaje się „myśl polityczną", drugim — „instynkt" żołnierski. W ostatecznym wyniku zamyka się to następującym stwierdzeniem:

„Narodowa Demokracja stworzyła całą szkołę polityczną, dała pierwsze zręby pod system polityki narodowej, wytworzyła całą filozofię narodową, logiczną, mocną, wyrozumowaną. Legiony wybrały czyn. Ich idea przewodnia była mniej skrystalizowana i jasna, nie była ujęta w pisane formy tworów intelektu — była wyczuta, intuicyjna. Narodowa Demokracja reprezentowała przed wojną światową nacjonalizm typu politycznego, legiony — myśl żołnierską".

Zdanie to wywołało szereg protestów. Z różnych stron i w różnych celach upominano się o poniżoną w ten sposób myśl polityczną Legionów, myśl polityczną Józefa Piłsudskiego, czy też — szerzej — myśl polityczną wszystkich w Polsce niewolnej czynników powstańczych.

Czy oburzenie to jest słuszne? — Niewątpliwie! — Pan Zarzycki — niezależnie od jego intencji — jest jak ktoś, kto chce jeść owoce, a neguje istnienie drzewa. Pan Zarzycki uznaje „rolę dziejową" Piłsudskiego, gotów jest uznać znaczenie zarówno Piłsudskiego, jak Legionów, jak wreszcie całej ideologii powstańczej dla odbudowy Państwa Polskiego, równocześnie jednak ośrodek „myśli politycznej" widzi gdzie indziej, w obozie „statystów i dyplomatów", począwszy od ks. Czartoryskiego, kończąc na Romanie Dmowskim. I znowu jest to niesłychane uproszczenie. Istotą „czynu" politycznego jest to, że jego pozytywne znaczenie w skutkach swych przejawia się właśnie w zależności od wartości poprzedzającej ten czyn „myśli politycznej". Ta współzależność „czynu" i „myśli" jest nie do rozerwania. Czyny Józefa Piłsudskiego były możliwe tylko na gruncie myśli Józefa Piłsudskiego, tak jak czyny Romana Dmowskiego wynikały z myśli Romana Dmowskiego. Nie można więc równocześnie aprobować czynów Józefa Piłsudskiego i myśli Romana Dmowskiego, jako rzeczy współ się dopełniających, czy też nawet tylko od siebie niezależnych. Nie, te rzeczy były sobie przeciwstawne, jeśli nie w celach ostatecznych, najogólniej ujętych, jako dobro Polski, to w samym sposobie myślenia i w sposobie wynikającego z rezultatów przemyśleń działania.

Pan Zarzycki w imieniu Młodej Polski chce uprawiać grę zarazem sprytną i naiwną. Chce być spadkobiercą czynów Józefa Piłsudskiego i myśli Romana Dmowskiego. Ekwilibrystyka ta może dokonać się tylko kosztem obu w ten sposób zaszczyconych patronów. W danym wypadku dokonywuje się ona przede wszystkim kosztem Józefa Piłsudskiego, kosztem karygodnego i do najwyższego stopnia oburzającego deprecjonowania — przez rzekomego wyznawcę — najwyższej polskiej myśli politycznej, utrwalonej w największym dziele współczesnej historii świata, jakim jest Państwo Polskie.

Pisząc te słowa nie chcemy obniżać złośliwie wartości myśli przeciwstawnej, czy odmiennej, myśli Romana Dmowskiego. Nie mamy nic przeciwko temu, by wyznawca tej ostatniej myśli jej i z niej płynącemu działaniu przypisywał decydujące znaczenie dla odbudowy Państwa Polskiego. Nie uważamy, by spór o to dziś już teoretyczne zagadnienie był najważniejszym czynnikiem dzisiejszych w Polsce podziałów. Spór ten, jesteśmy tego pewni, dziś już można przekazać w jego historycznej postaci wiekom. Lecz przekazać, to nie znaczy sfałszować. Można być przeciwnikiem myśli Józefa Piłsudskiego, nie można być rzekomym wyznawcą czynów, zaprzeczającym myśli. To jest podwójna gra, której okolicznością łagodzącą może być tylko szczera i rzeczywista naiwność.

Życie polityczne nie zna niezmiennych kanonów. Rozumiemy, że zmienia się stosunek ludzi do haseł i zagadnień, że dokonywują się wielkie i zasadnicze przeobrażenia. Nie będziemy się dziwić gdy niejeden z tych, którzy w swoim czasie żyli myślą Józefa Piłsudskiego, będzie starał się o znalezienie syntezy tej myśli z myślą Romana Dmowskiego, tak jak nie będziemy się dziwić nawet dalej idącemu zjawisku, to jest, że ktoś będzie starał się wyplenić z duszy swej całą myśl Józefa Piłsudskiego, by uczynić miejsce dla całej myśli Romana Dmowskiego. Lecz nie będziemy mogli pogodzić się z innym zjawiskiem, którego symptomy tak jaskrawo występują w omawianym artykule „Młodej Polski", to jest jeśli ktoś dla ułatwienia sobie tej ewolucji będzie się starał wykazać, że Józef Piłsudski nie reprezentował głębszej myśli politycznej, czy też, że nie reprezentował myśli odmiennej od myśli Romana Dmowskiego. To już nie jest zagadnienie grupowej, czy jednostkowej ewolucji, to jest zagadnienie gorszego nieposzanowania Imienia i Ducha Wielkiego Wodza, niżeli to nieposzanowanie, które okazał ks. Metropolita Krakowski w stosunku do Jego Trumny.

*

Symptomy tego nieposzanowania, wynikające zresztą zapewne nie ze złej woli, można dostrzec w wielu punktach artykułu p. Zarzyckiego. Wadliwość założenia musi prowadzić do wniosków rażących. Jednakże niektóre punkty tego artykułu mają wymowę dziwnej doprawdy groteski.

Szukając analogii dla swej teorii dwóch typów, typu politycznego i typu żołnierskiego, cofa się p. Zarzycki w przeszłość poza okres niewoli. I tutaj znajduje analogię wręcz nieprawdopodobną. Odpowiednikiem niejako tych dwóch typów, które za naszych dni reprezentowali Józef Piłsudski i Roman Dmowski, miały być, między innymi, w dawnej przeszłości dwa inne nazwiska: Jerzy Ossoliński i Jeremi Wiśniowiecki, jeden „wytrawny, bez namiętny „statysta" w stylu zachodnio-europejskim", drugi — „kresowy ze stepowym temperamentem wojownik".

Nad analogią tą nie będziemy zatrzymywali się dłużej, nie ma ona charakteru zasadniczego. Na wzmiankę zasługiwała tylko jako pewna potworność historyczna. W piśmie walczącym z myślą polityczną Józefa Piłsudskiego byłaby ona zapewne przykładem złośliwej głupoty. W artykule „Młodej Polski" jest ona przykładem już nie prymitywizmu, lecz wprost barbarzyństwa historycznego myślenia. Z równą ścisłością można pisać o Sicińskim, jako przedstawicielu polskiej myśli politycznej, lub o Ponińskim jako wzorze obywatelskiej cnoty. I znowu nasuwa się uwaga. Jakże można być piłsudczykiem i nacjonalistą i równocześnie pisać o przeszłości własnego kraju z taką straszną „historii zniewagą".

*

Lecz byłoby wielką nieścisłością gdybyśmy — pisząc o artykule p. Zarzyckiego w sposób tak ostry — pominęli szereg zdań, w których pisze on z głęboką „czcią i zrozumieniem" „o żołnierzach, którzy polegli w walkach legionów", o „roli dziejowej ich Wodza" i t. p.

Momenty te są i są liczne, są one również zapewne zupełnie szczere. Wierzymy w całej pełni w dobre intencje autora i pisma w kierunku „zespolenia myśli żołnierskiej z myślą polityczną w Polsce".

Lecz znaczenie tych momentów jest niezmiernie osłabione właśnie przez zasadniczą koncepcję, której wyrazem jest odrębne traktowanie myśli żołnierskiej i myśli politycznej. Wyrozumiałość p. Zarzyckiego ma w sobie pewne cechy tego dobrotliwego i pobłażającego stosunku uczciwych endeków do ruchu legionowego w pierwszym okresie wojny, którego wyrazem były zapewnienia o poszanowaniu dla ideowego stanowiska, dla przelewanej krwi „szlachetnej młodzieży", przy równoczesnym lekceważeniu wartości myśli politycznej ruchu legionowego. Odpowiedzią na tego rodzaju dobrotliwy stosunek były wówczas słowa dobrze znanej do niedawna strofy: „Nie trzeba nam od Was uznania!". Czyżby ta strofa dzisiaj miała już stać się obca części dawnego legionowego ruchu?

Lecz na to może paść jedna odpowiedź? — Jeśli dla dobra Polski trzeba byłoby dzisiaj jeszcze rezygnacji z doceniania największych nawet wartości dawnego ruchu, z dawnej tradycji i dumy legionowej, czy nie należałoby uczynić i takiej ofiary? — Czy nie byłby to mniej więcej tego rodzaju symboliczny gest, jaki podyktował Józef Piłsudski przed wymarszem Kadrowej Kompanii, każąc zgromadzonym strzelcom i drużyniakom zamienić swe znaczki na czapkach?

Bezsprzecznie. Lecz porównanie nie jest w całości słuszne. Dyktando takie można dać tylko w momencie tak porywającego marszu wprzód, że w nim istotnie giną wszelkie różnice przeszłości. Decydującym czynnikiem jednak będą cele i warunki tego marszu, ustąpienie tradycji — tylko symbolem. Lecz i wówczas jeszcze rzeczą wielkiej wagi jest pewność, że zamienione symbole będą przez każdą ze stron otoczone troską największej czujności, najgłębszym przywiązaniem. Nie można ryzykować, że zostaną zlekceważone i poniżone, tak jak to właśnie ma miejsce z tradycją ruchu legionowego w sposobie potraktowania jej przez najnowszych piłsudczyków z pod znaku „Młodej Polski" w pierwszym zaraz numerze nowego pisma.

*

Czy jednak wartość i znaczenie tej tradycji jest czymś istotnie tak znacznym i realnym? — Przed kilku laty nie było jeszcze miejsca na tego rodzaju pytania. Przy tworzeniu „Legionu Młodych" była skłonność wręcz przeciwnej przesady, skłonność uważania samej tradycji za czynnik motoryczny i hasło przyszłości. Na przestrogę, że tradycja, nawet najdumniejsza, może być tylko wielkim zaszczytem i wielką odpowiedzialnością, nie może jednak być programem i drogowskazem przyszłości, odpowiadano: „Dajemy im największe w dziejach Polski Imię i najpiękniejszą tradycję! — W tych warunkach muszą zwyciężyć!"

Dziś istnieje obawa, by w dążeniu do rezultatów doraźnych nie poczyniono błędu wręcz przeciwnego, obawa, by tej „najpiękniejszej w dziejach tradycji i największego w historii Imienia" nie dano w ręce ludzi uczuciowo z nimi niczym niezwiązanych, ludzi, którzy uczynią z tych wielkich wartości Narodu przedmiot niepoważnej zabawy i lekkomyślnych eksperymentów. Bo z historyczną tradycją jest tak, jak z wieścią gminną. Może być ona najbardziej wartościową „arką przymierza" między przeszłością i przyszłością Narodu, jednakże dotąd tylko „póki jej własny jej lud nie znieważy". I stąd na koncepcje historyczne „Młodej Polski" nie można patrzeć obojętnie, jako tylko na niepoważny wyskok niepoważnego młodzieńca.

Przed kilku tygodniami, w związku ze sprawą krakowską, jedno z pism prowincjonalnych zwróciło się w tytule artykułu do jednego z legionowych żołnierzy z oskarżającym pytaniem: „Czemu Wieniawa nie strzegł jak wierny syn tej trumny?". Dzisiaj, w związku z artykułami „Młodej Polski", rodzi się inne, lecz nie mniej istotne pytanie: „Kto będzie strzegł testamentu, kto będzie strzegł Imienia?" Nie trzeba lekceważyć, że w tej sprawie mogą, czy muszą powstawać wątpliwości.

CO NA TO P. MINISTER W. R. I O. P.?

(w.) Cztery miesiące upłynęły od przejęcia Bratniej Pomocy Uniwersytetu Jagiellońskiego, najbogatszej i najlepiej zagospodarowanej ze wszystkich akademickich instytucji samopomocowych w Polsce, prowadzonej do ostatnich tegorocznych wyborów przez członków Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej — przez nowo obrany zarząd, w którym większość uzyskała po raz pierwszy w historii krakowskiego bratniaka młodzież endecka. Na zwycięstwo złożyły się masowo zapisy medyków i kleryków, tych ostatnich nie bez moralnego nakazu i materialnego wsparcia księcia arcybiskupa Sapiehy. O zapisach nie mogły decydować momenty społeczno-gospodarcze, a więc momenty natury samopocowej: zarówno klerycy jak i medycy posiadają swoje odrębne samopomoce akademickie. Fakt ten, jak i masowość dokonanych na parę dni przed wyborami zapisów, wskazywały niedwuznacznie na wyraźnie polityczny charakter akcji.

Na ten czysto polityczny i związany z pogwałceniem istoty zagadnień samopomocowych charakter wyborów wskazywali dotychczasowi kierownicy Bratniej Pomocy, odwołując się do p. ministra W. R. i O. P. i prosząc o unieważnienie wyborów, w tak niezwykły sposób — przy udziale członków innych samopomocy — przeprowadzonych przez stronę endecką. P. minister odmówił. Nie pomogła pięćdziesiąt dni trwająca blokada I. Domu Akademickiego. Zarząd o większości endeckiej objął urzędowanie.

Wypadki nie dały na siebie specjalnie długo czekać.

W dniu 23 lipca b. r. zawitał do kolonii wypoczynkowej Bratniej Pomocy U. J. w Szczawnicy rektor U. J. Szafer, kurator Bratniej Pomocy prof. Pigoń oraz kwestor Uniwersytetu. Przygotowując lokal na przyjęcie tych gości w sali jadalnej — gdzie przyjmowano rektora i jego towarzyszy — zdjęto portrety Prezydenta Mościckiego i Marszałka Piłsudskiego. Najprawdopodobniej — w oparciu o fakt dokonany — portrety nie wróciłyby na swoje poprzednie miejsce i po wyjeździe rektora, dopiero bowiem energiczna postawa pewnej grupy młodzieży, która nie mogła pokryć milczeniem swego oburzenia, spowodowała ponowne zawieszenie portretów.

Co na to p. minister W. R. i O. P.?

Sposobu witania władz uniwersyteckich, będących przecież przedstawicielami Rządu wobec młodzieży, przejawiającego się w usuwaniu portretów najwyższego zwierzchnika państwa oraz człowieka, który stał się symbolem odrodzonej Polski, trudno uznać za właściwy. Takie postępowanie wymaga czegoś więcej, niż napiętnowania w opinii publicznej; wymaga wyciągnięcia konsekwencyj przez powołane do tego władze. Wyrażamy nadzieję, że Ministerstwo W. R. i O. P. podejmie kroki, celem wyjaśnienia tej sprawy.

KONTO P. K. O. 11.144

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Daleki Wschód a Europa

(z. d.) Nankin szykuje się do wojny z Japonią. „Jako dowódca sił zbrojnych Chin — oznajmił marsz. Czang-Kai-Szek — biorę na siebie całą odpowiedzialność i dokonam wszystkich wysiłków dla zapobieżenia niebezpieczeństwu. Chiny powinny się zjednoczyć w walce do ostatniego tchnienia. Nie możemy dopuścić do żadnej kapitulacji, do żadnego kompromisu". Z drugiej znów strony, w Japonii, istnieje niezłomne postanowienie realizacji powziętego postanowienia. Jest to postanowienie uczynienia nowego kroku ku realizacji „federacji północno-chińskiej". Krokiem tym byłoby położenie ręki na prowincjach Czachar i Ho-pei.

W takim stanie rzeczy wojna chińsko-japońska może się wydać nieunikniona. Jednak doświadczenie uczy, że na Dalekim Wschodzie rządzą polityką inne prawa niż w orbicie cywilizacji zachodniej. Słowa i hasła rzucane mają inną wartość. A dalej — co najważniejsze — położenie mocarstwowe Chin i Japonii jest zbyt związane z całością polityki światowej, aby sprawy, wynikłe między tymi państwami, mogły się rozwijać swobodnie pod naporem wzajemnych namiętności. Już sam moment, w którym Japonia zdecydowała się wyciągnąć konsekwencje agresywne w stosunku do Chin z drobnego incydentu, wynikłego pod Pekinem między lokalnymi komendami wojskowymi japońską i chińską, wskazuje, że ostatnie wydarzenia na Dalekim Wschodzie zsynchronizowane są dokładnie z rozwojem polityki światowej na innym odcinku: w Europie. Są one wyrazem ogólnego zachwiania równowagi.

Równowaga w polityce światowej zachwiała się ostatnio skutkiem względnej niemocy, w jakiej znajduje się Anglia. Ten fakt wywiera decydujący wpływ na rozwój sytuacji na Dalekim Wschodzie. Jak w przededniu wojny rosyjsko-japońskiej w roku 1904 tak i dziś, w przededniu ewentualnej wojny japońsko-chińskiej, a może i japońsko-sowieckiej, sytuacja Anglii odgrywa w planach Japonii rolę niemal decydującą. Problemowi japońsko-angielskiemu poświęcił ostatnio ciekawy artykuł tokijski korespondent *„Frankfurter Zeitung"* (23.VII). Artykuł ten wart jest komentarza. W przekonaniu korespondenta, do dziś dnia wspomnienie lat 1902—1905, czyli lat powstania przyjaźni japońsko-angielskiej i zwycięstw nad Rosją, jest ważnym czynnikiem psychologicznym i rozumowym w kształtowaniu się polityki zagranicznej Japonii. Korespondent *„Frankfurter Zeitung"* nie jest w stanie uwolnić się od apriorycznego traktowania polityki zagranicznej Japonii jako polityki antyrosyjskiej. Ewentualności ekspansji na południe, w orbitę posiadłości i bezpośrednich interesów Imperium Brytyjskiego, rozważa on jako coś na marginesie. Dlatego też wysuwa na pierwszy plan, jako podstawową siłę polityczną w Japonii, otoczenie Cesarza, do dziś dnia przepełnione duchem lat 1854—1905, lat „wielkiej ewolucji" wojny z Rosją. „Dla doradców z otoczenia tronu — pisze autor cytowanego artykulu — wyniesienie się Japonii z położenia niepozornego kraju wyspiarskiego do dzisiejszej potęgi światowej łączy się jak najściślej z zawartym w roku 1902 sojuszem angielsko-japońskim. Ten czas roku 1902 kształtował zasady polityczne jedynego dziś jeszcze żyjącego starego męża stanu, księcia Saionji; wywarł decydujący wpływ na jego ucznia, księcia Konoe i wyznaczył zagraniczno-polityczną postawę obecnych doradców z otoczenia tronu — jak naprzykład Matsudairy, teścia brata Cesarza, księcia Chichibu; Yuasy, lorda strażnika pieczęci i prawdopodobnego następcy księcia Saionji; barona Nakino, teścia obecnego ambasadora Japonii w Londynie, Yoshidy".

Otóż wiadomo, że książę Chichibu z okazji bytności swej na uroczystościach koronacyjnych w Londynie dokładał wszelkich starań, aby przyczynić się do polepszenia stosunków angielsko-japońskich. Ambasador Yoshida już od półtora roku prowadzi w Londynie wstępne rozmowy celem „oczyszczenia" stosunków japońsko-angielskich. O tych rozmowach oznajmiono z końcem czerwca w ministerstwie spraw zagranicznych w Tokio, że z inicjatywy Japonii przybrały one charakter oficjalny. Nie pozostaje to oczywiście bez związku z faktem, że premierem Japonii jest ks. Konoe, wychowany politycznie w atmosferze lat nasilenia przyjaźni angielsko-japońskiej. Dziwne może się więc wydać na pierwszy rzut oka, że początek lipca przyniósł działania wojenne Japonii w Chinach, działania mające na celu dalsze opanowywanie prowincji północnych, których pełna przynależność do całokształtu gospodarczego i politycznego Chin leży w bezpośrednim interesie Angli. Ostatnie kroki Japonii w Chinach stoją również w jaskrawej sprzeczności z ideą paktu nieagresji państw Oceanu Spokojnego, o którym tak dużo ostatnio mówiono z akcentem aprobaty w Tokio, a tak samo i w Londynie. Jedno i drugie dowodzi, że polityka Japonii w stosunku do Wielkiej Brytanii znajduje się jeszcze w stadium fluktuacji. Stan ten wywołany jest wpływem trzech czynników wewnętrzno - politycznych, hamujących dążenie ks. Konoe do odbudowy przyjaźni japońsko - angielskiej; przemysł eksportowy, marynarka wojenna i w pewnym sensie armia lądowa. Przemysłowcy twierdzą, że przyszłość ekspansji gospodarczej Japonii leży na ciepłych wodach Pacyfiku, a nie na kontynencie azjatyckim. Stanowisko to podtrzymuje marynarka wojenna, która widzi potencjalnego wroga nr 1 Japonii w potędze morskiej Wielkiej Brytanii. Wreszcie armia lądowa, która w swych planach antyrosyjskich uznaje konieczność porozumienia japońsko-angielskiego, uważa, iż Anglia jako czynnik mocarstwowy jest narazie zbyt słaba, aby potrzeba było z nią się liczyć. I dlatego też póki czas — póki potęga brytyjska nie wzrośnie w miarę realizacji zbrojeń — należy, zdaniem armii, realizować plany w Chinach, nie zważając na niezadowolenie Anglików. Na tym stanowisku zdaje się stać minister spraw zagranicznych, Hirota.

Dla Anglii uregulowanie stosunków z Japonią jest niezmiernie pożądane. Nawet po realizacji programu dozbrojenia będzie niemożliwością, aby Anglia była decydującym czynnikiem mocarstwowym równocześnie nad Renem, na Morzu Śródziemnym i na Pacyfiku. W interesie Anglii leży definitywna stabilizacja stosunków na Dalekim Wschodzie, gdyż najżywotniejsze interesy ściągają jej uwagę i siły na Morze Śródziemne. Jednak — jak wynika z przeprowadzonej wyżej analizy prądów politycznych japońskich — definitywne uregulowanie zagadnień Pacyfiku, uregulowanie implikujące przyjaźń angielsko-japońską wymaga, aby Anglia miała w okresie „regulacyjnym" w ręku mocne argumenty, czyli gros swej floty i lotnictwa do natychmiastowej dyspozycji na Dalekim Wschodzie. Japonia korzysta dziś — postępując naprzód w Chinach — z daleko idącego związania Anglii w Europie. Posunięcia Japonii, zagrażające interesom gospodarczym i pozycji mocarstwowej Anglii na Dalekim Wschodzie, zmuszają więc Anglię do przyśpieszenia likwidacji płaszczyzn tarć europejskich: Hiszpanii i Renu. To też i nie bez związku z ostatnimi wydarzeniami azjatyckimi pozostaje niespodziewany zwrot w polityce gabinetu Chamberlaina ku porozumieniu z Włochami. Inicjatywa ta może Anglię drogo kosztować. Wątpliwe, czy Włochy zadowolą się samym tylko uznaniem aneksji Abisynii. Prawdopodobnie do ceny, jaką postawią za uwolnienie Anglii z kleszczy konfliktów europejskich, wliczą i aprobatę ustroju faszystowskiego w Hiszpanii, pozostającego pod co najmniej „ideologicznym" patronatem włoskim. W zależności, jak prędko pójdą targi między Anglią i Włochami i jakie będą perspektywy ich pozytywnego wyniku, na Dalekim Wschodzie sytuacja wojenna może się rozwijać lub łagodzić. Nie ulega bowiem wątpliwości, że każde odprężenie w Europie Anglia zużyje na Dalekim Wschodzie w sensie hamowania zapału obu państw walczących.

Jugosławia a Konkordat

(z. d.) Walka przeciwko konkordatowi, jaka toczy się obecnie w Jugosławii, jest ciekawym przykładem splotu czynników religijnych i politycznych. Splot ten wytworzył się za czasów panowania Imperium Osmańskiego nad plemionami południowosłowiańskimi. Nie tyle język, nie tyle indywidualność rasowa czy kulturalna, ile wyznanie odróżniało najeźdźców od zwyciężonych słowian, prawosławnych i katolików. Co ważniejsze jednak, państwo osmańskie powierzyło samorząd administracyjny podbitych plemion Kościołowi. W ten sposób Kościół, a szczególnie prawosławny Kościół Serbów wykroczył w swej działalności w stuleciach panowania tureckiego poza ramy instytucji religijnej i stał się siłą polityczną. W dalszym ciągu historii politycznej ludów południowo-słowiańskich, za lat panowania austro-węgierskiego, uprzednia ingerencja polityczna Kościoła wytworzyła całkowite zespolenie pierwiastków przynależności narodowej i kościelnej. Prawosławie stało się symbolem serbskim, katolicyzm stał się symbolem chorwactwa i słowieństwa. Granice narodowościowe ustaliły się zbieżnie z granicami wyznaniowymi. Gdzie w Jugosławii dzisiejszej rozmaite elementy współżyją, jak np. w Bośni, na pytanie „jesteś Serbem?"—słyszy się odpowiedź „tak jestem prawosławny"; na pytanie „jesteś Słoweńcem" odpowiedź brzmi — „jestem katolikiem".

Dlatego też opozycja przeciwko Konkordatowi jest fenomenem nawskroś politycznym. Świadczy o tym choćby fakt, że duszą tej opozycji jest były premier Jefticz, który właśnie w roku 1935 pertraktował z Watykanem i parafował Konkordat. Walka przeciwko Konkordatowi jest głównie walką niektórych kół serbskich z racją stanu premiera Stojadinowicza, pragnącego dać Jugosławii charakter państwa federalnego, implikującego daleko idącą emancypację polityczną grup narodowych nie-serbskich, katolickich. Stojadinowiczowi przyświeca w tej chwili jako główny cel zdobycie Chorwatów dla idei federacyjnej i zneutralizowanie w ten sposób ich dążeń separatystycznych. Droga ku temu wiedzie oczywiście przez uznanie równorzędności katolicyzmu i prawosławia, uwzględniając, że katolicyzm jest dla Chorwatów podstawowym elementem świadomości narodowej. Ci Chorwaci z rasy i kultury, którzy od kilku pokoleń przyjęli wyznanie prawosławne, czują się dziś już Serbami. Kościół prawosławny serbski, który jest kościołem politycznym, w równouprawnieniu katolicyzmu, w Konkordacie, widzi tamę stawianą jego ekspansji na terenie Jugosławii. Ponieważ ta ekspansja oznacza równocześnie ekspansję narodową serbską, więc tamowanie jej oznacza przeciwstawianie się szowinistycznym koncepcjom wielko-serbskim.

Pomijając momenty polityczne, kampania przeciwko Konkordatowi ma swoje oblicze czysto kościelne. Kościół rzymsko-katolicki znajduje się dziś, w związku z antykatolicką akcją hitleryzmu, w sytuacji nie łatwej. Przekonanie o jego nienaruszalności jest mocno zachwiane; a to zachęca do ataków przeciwko niemu. Kościół prawosławny w Jugosławii wykorzystał tę koniunkturę i stąd z taką siłą przeciwstawił się Konkordatowi, wzmacniającemu wydatnie pozycję Kościoła katolickiego. Pod pozorem opozycji przeciwko Konkordatowi, jako aktowi państwowemu dla państwa jugosłowiańskiego rzekomo niekorzystnemu, Kościół prawosławny wdał się w pospolitą walkę konkurencyjną. Metody, jakie w walce tej użył, są jednym więcej dowo-

dem jak pełne anachronizmu są dziś w świecie stosunki między Kościołem a czynnikami świeckimi. Oto Kościół ekskomunikuje tych, co postępując w myśl wskazań politycznych większości narodu, wchodzą w konflikt z kościołem: stu deputowanych i kilku ministrów. Doprawdy, zbliża się chyba nowe Odrodzenie; tym razem odrodzenie średniowiecza.

O NAS U OBCYCH

(Na Śląsku po 15 lipca — Bałtyk — morzem germańskim? — Prez. Greiser o stosunkach gdańskich i polsko-gdańskich

Ostatnie zarządzenia polskie we Województwie Śląskim, regulujące pewne kompleksy spraw, objęte dotąd Konwencją Genewską, dały prasie niemieckiej asumpt do wystąpienia pod adresem Polski z nową porcją żalów.

Leipziger Neueste Nachrichten, omawiając powyższe zagadnienie, stwierdza, że z chwilą likwidacji Konwencji Genewskiej do kielicha przyjaźni polsko - niemieckiej wpadła kropla wermutu... Niestety — powiada dalej cytowane pismo — nie udało się na miejsce Konwencji wprowadzić nowego ustawodawstwa, które by zdjęło z Niemiec troskę o losy na dalekim Śląsku żyjącej mniejszości niemieckiej. Rzecz jasna, że Niemcy starają się mieć pełne zrozumienie dla psychiki Polaków, nie mogących na dłuższą metę, podobnie zresztą, jak i Niemcy, znieść tego, by Liga Narodów miała mieć prawa suwerenne nad pewną częścią ich kraju i w ten sposób mogła tę pełną suwerenność ograniczać; wysunięte propozycje w sprawie nowych rokowań polsko - niemieckich na temat Śląska miały jednak nie podlegać nadzorowi Ligi Narodów, lecz miały stać się podstawą dla bezpośredniej dwustronnej umowy. Do propozycji tej strona polska ustosunkowała się negatywnie, wskazując na to, że konstytucja polska gwarantuje wszystkim obywatelom pełne bezpieczeństwo życia, pełne swobody i niczym nie ograniczone prawa własności — bez względu na pochodzenie, narodowość, język, rasę czy religię. Sprawy te były Niemcom znane. Jeżeli jednak mimo to strona niemiecka wyraziła życzenie, by w odniesieniu do mniejszości niemieckiej na Śląsku odpowiednie ustawodawstwo zostało wyraźnie sprecyzowane i ludziła się nadzieją, że tak się stanie, to przede wszystkim dla tego, że Niemcy dobrze zdawały sobie sprawę z istnienia zasadniczych różnic między warszawską polityką porozumienia a nastrojami społeczeństwa ziem zachodnich, wpływającymi niekorzystnie nie tylko na życie mniejszości niemieckiej, lecz nawet przeradzającymi się w bezustanne niebezpieczeństwo dla paktu z 26.1.1934. Niemcy nie domagały się więc wcale jakiegoś uprzywilejowania, godzącego w suwerenność Państwa Polskiego, lecz chodziło im jedynie o ochronę dla istniejącej obustronnej przyjaźni. „Nic bowiem bardziej nie osłabia dobrych stosunków między dwoma narodami, jak polityka drobnych szykan".

Deutsche Diplomatisch - Politische Korrespondenz zajmuje w odniesieniu do aktualnych spraw śląskich analogiczne stanowisko. Nikt nie powinien się dziwić — pisze ona — że z datą 15 lipca, odnoszącą się do ziemi, która przez kilka wieków historycznie i kulturalnie należała do Niemiec, związane są w Rzeszy bolesne wspomnienia. Mimo to — głównie ze względu na pakt z 26.1.1934 — Niemcy są gotowe wzrok skierować w przyszłość i zapomnieć o tym, co kiedyś było. Tego rodzaju decyzja przewidywała, że strona polska odwzajemni się podobnym nastawieniem. Niestety, ostatnio nie brakło wystąpień i posunięć, które — biorąc sobie datę 15 lipca za pretekst — wykorzystywały tę okazję do przedstawienia nowej sytuacji w sposób, sprzeczny z zasadniczymi podstawami wzajemnych dobrych stosunków między Polską a Niemcami.

„Wszystkie te fakty — pisze dalej dosłownie „Deutsche Diplomatisch-Politische Korrespondenz" — przywodzą na pamięć te trudności, które w swoim czasie zostały w pakcie polsko - niemieckim zlikwidowane na drodze rozmów bezpośrednich. Ta metoda przeszła z powodzeniem próbę życiową w całym szeregu wypadków — zarówno po stronie polskiej, jak też i po stronie niemieckiej — i dlatego też byłoby bardzo wskazane, aby właśnie w chwili obecnej można było tą drogą dojść do rozwiązań, które uwzględniałyby z jednej strony narodowe potrzeby Polski, z drugiej strony uznawałyby słuszne w tym wypadku sentymenty niemieckie („berechtigte Empfidlichkeiten"). Strona niemiecka pragnęłaby w każdym razie, by sprawy rozwiązywano w sposób, leżący po wielkiej linii porozumienia polsko - niemieckiego, czyli w sposób, eliminujący zaczepki pod adresem strony drugiej. Jeżeli więc Niemcy wyrażają życzenie, aby strona polska trzymała się tej generalnej linii i do niej tak dostosowywała swoje akcje, by nie obciążać nimi stosunków polsko-niemieckich, to taki dezyderat strony niemieckiej należy uważać za wyraz zdecydowanej woli na rzecz porozumienia wzajemnego".

*

W ostatnim czasie forsuje się w pewnych kołach niemieckich coraz silniej tezę o zdecydowanie germańskim charakterze Morza Bałtyckiego dla stworzenia w ten sposób polityce niemieckiej punktu wyjściowego dla pewnych aktualnych posunięć nad Bałtykiem, mających na oku utrwalenie tam wpływów niemieckich pod pretekstem ochrony „germańskiego morza" przed niebezpieczeństwem bolszewizmu. Tego rodzaju teza jest zbyt naiwna, by mogła ukryć właściwe i istotne cele i plany, jakie za tą nową akcją niemiecką w odniesieniu do Morza Bałtyckiego się kryją.

Wychodzący w Szczecinie miesięcznik *Das Bollwerk*, organ NS - Kulturgemeinde, w numerze lipcowym omawia powyższe zagadnienie co prawda z perspektywy spraw Pomorza Niemieckiego, tym nie mniej jednak konkluzje ogólne, jakie temat ten pismu nasunął, zasługują na baczniejszą uwagę.

„Das Bollwerk" wskazuje więc przede wszystkim na to, że równowaga sił na Bałtyku, jaka nastała tam po złamaniu preponderancji szweckiej, została zakłócona w bieżącym stuleciu przez Rosję. Niemieckie pułki odepchnęły co prawda w czasie wojny światowej Rosję ku wschodowi, mimo to jednak ta sama Rosja w dalszym ciągu czatuje w swoim kąciku, jak za czasów Iwana Groźnego. Ludy skandynawskie — powiada dalej pismo — przyglądały się tym zmaganiom całkiem obojętnie i nie zrobiły nic nawet wtedy, gdy po upadku Niemiec inny naród słowiański usamodzielnił się, wyszedł drogą wzdłuż Wisły ku morzu i w chwili obecnej domaga się, by go uznano za państwo bałtyckie.

W ten sposób — powiada pismo — dzięki inwazji Rosji i Polski na Bałtyk, jednolity charakter Morza Bałtyckiego został rozbity tak politycznie, jak i gospodarczo. Mimo to germańskie państwa nadbałtyckie, dzięki swym wyższym (!) walorom kulturalnym, są jedynie i tylko powołane do tego, by nadawać ton i mieć wyższość nad narodami wschodnimi nad Bałtykiem. Tylko te państwa mogą stać na straży Bałtyku przed niebezpieczeństwem bolszewizmu. To są — zdaniem pisma — zadania, ciążące na wszystkich państwach nadbałtyckich. „Na wschodzie Bałtyku znajduje się słaby punkt obszaru, na którym my żyjemy. Z punktu tego wyłania się groźba zagłady swobody morza germańskiego".

*

Z okazji 35-tej rocznicy urodzin Gauleitera NSDAP na Gdańsk, Alberta Forstera, prezydent senatu, Greiser, opublikował na łamach „Der Danziger Vorposten" artykuł, stanowiący bilans czteroletnich rządów partii hitlerowskiej w Gdańsku.

Prezydent Greiser wyraża w swoim artykule przede wszystkim przekonanie, że w najbliższym już czasie w takim np. Volkstagu będzie się widziało tylko i wyłącznie kolor brunatny, a w całym Gdańsku będzie rządzić wszechwładnie tylko i jedynie partia narodowo - socjalistyczna, gdyż właśnie ona gwarantuje Gdańskowi rozwój nazewnątrz i dobrobyt na wewnątrz. Bo jak to wyglądało wszystko dawniej, na odcinku gospodarczym — pyta prez. Greiser? Czyż kto jeszcze wspomina choć słowem o tych osławionych związkach zawodowych i pracowniczych? Któż pamięta jeszcze te wszystkie obiecanki socjalistyczne i tę solidarność międzynarodówki? Kto wierzy jeszcze w prawa człowieka, jakie ta międzynarodówka miała wywalczyć? Kto dzisiaj mówi jeszcze o jakichś związkach pracodawców, o ekonomistach oraz o koncepcji pierwszeństwa gospodarki przed polityką? Otóż — odpowiada tu prez. Greiser — między pracodawcą a pracobiorcą panuje dzisiaj pełna harmonia; polityczną stroną tego odcinka życia zajmuje się NSDAP, socjalną— Gdański front pracy.

Nie mniejsze sukcesy — ciągnie dalej prez. Greiser — osiągnął gdański narodowy socjalizm na forum zewnętrznym. Minęły już bezpowrotnie czasy handlów politycznych z Polską, kończących się zazwyczaj skargami, kierowanymi do Ligi Narodów, a nastał okres bezpośredniego wzajemnego porozumiewania się i bezpośrednich rozmów. Minęły czasy narastania nad horyzontem gdańskim chmur tego rodzaju, jak polskie postulaty zbrojnej okupacji Gdańska, a nastał okres, w którym rząd polski uznaje niemiecki charakter Wolnego Miasta. Nie ma już dziś bójek, wynikłych z wzajemnego zacietrzewienia, kierowany przez partię Gdańsk szanuje Polaków. Usunięta została sprzeczna z rozsądkiem konkurencja Gdańska i Gdyni i ułożony został między nimi modus vivendi.

Wszystko to — kończy prez. Greiser — ma Gdańsk do zawdzięczenia partii narodowo - socjalistycznej. Gdańsk winien być zadowolony z tego, że losy postawiły na jego czele męża opatrznościowego tej miary, co 35-letni Gauleiter Albert Forster.

PRZEGLĄD PRASY

Czyżby oś Berlin — Moskwa?

Nie od dzisiaj stosunki niemiecko-sowieckie są przedmiotem sensacyjnych pogłosek. Pisano już na ten temat dość często i dość dużo. W kwietniu b. r. lansowano np. wersję o bliskim odprężeniu niemiecko - sowieckim z okazji pojednania się kanclerza Hitlera z gen. Ludendorffem, choć ten ostatni nigdy właściwie nie był specjalnym zwolennikiem współpracy wojskowej z Sowietami. Pogłoski okazały się jednak wtedy tylko pogłoskami.

Ostatnia wizyta ambasadora sowieckiego w Berlinie, Jurieniewa, w letniej rezydencji kanclerza Hitlera w Berchtesgaden dała okazję do snucia nowych pogłosek na temat zbliżenia niemiecko - sowieckiego. Jak podkreśla *Kurjer Poranny* (nr. 212 z 2.8), rozmów powyższych nie można jednak interpretować w takim właśnie sensie. Dlaczego?

„Już w kilka dni później w Londynie, na posiedzeniu Komitetu

nieinterwencji, wystąpił wobec amb. Majskiego ambasador von Ribbentrop z mową tak ostro atakującą i oskarżającą Sowiety, jakiej dotąd nie wysłuchał bodaj ani jeden dyplomata sowiecki. Trudno to wystąpienie uznać jako objaw odprężenia!"

Sedno rzeczy leży mianowicie w tym, że obecnie nie tylko nie ma okoliczności, które by Niemcy i Sowiety zmuszały do współpracy, ale istnieją potężne czynniki w ich sytuacji wewnętrzno - politycznej i międzynarodowej, które je muszą rozdzielać i przeciwstawiać.

„Ruch hitlerowski wyrósł w Niemczech w walce z niebezpieczeństwem komunistycznym, które Niemcom zagrażało bardzo poważnie (6 milionów głosów komunistycznych w wyborach na 3 miesiące przed dojściem Hitlera do władzy). Doszedłszy do władzy, nie odrazu przeniósł on to swoje nastawienie antykomunistyczne z dziedziny stosunków wewnętrznych na politykę zagraniczną.

Od roku 1933 nastąpiło jednak wiele rzeczy, które antybolszewickie nastawienie Hitlera przeniosły w dziedzinę polityki międzynarodowej. Była w tym z jednej strony i świadoma obioru kierunku decyzja, była i pewna konieczność, wynikająca z układu sytuacji międzynarodowej. Hitler rozpoczął wielką kampanię antybolszewicką, chcąc zupełnie świadomie dać swemu narodowi poczucie wielkiej misji obrony cywilizacji przed wschodnim barbarzyństwem, by w ten sposób wydobyć z niego łatwiej maximum sił. Zupełnie też świadomie wystąpił z tą misją Niemiec na polu polityki międzynarodowej. Dało mu to większą swobodę ruchów i ułatwiło znacznie przeprowadzenie w praktyce decyzji dozbrojenia Rzeszy, remilitaryzacji Nadrenii i zerwania Locarna w dniach 16 marca 1935 r. i 7 marca 1936 r."

Zdaniem więc „Kuriera Porannego"

„każdy musi przyznać, że nie jest to linia polityki, która mogłaby ulec zmianie ot tak z dnia na dzień. że wychowanie narodu w ramach pewnego światopoglądu, do czego hitleryzm przywiązuje tak wielką wagę, nie wytrzymałoby takiego wstrząsu".

Nie da się zaprzeczyć, że w Niemczech są pewne koła i pewne czynniki, którym zależałoby na wznowieniu przyjaznych stosunków między Niemcami i Sowietami. Takie same środowiska są też niewątpliwie w Sowietach. Trzeba jednak stwierdzić, że wszystkie te czynniki nie odgrywają dzisiaj ani w Sowietach, ani w Niemczech żadnej poważniejszej roli.

W świetle takiego stanu rzeczy ostateczne konkluzje „Kuriera Porannego" na temat świeżych pogłosek o zbliżeniu niemiecko - sowieckim brzmią jak następuje:

„Wśród wypadków ostatniego roku nie ma niczego, co by wskazywało na możliwość zmiany w stosunkach niemiecko - sowieckich. Porachunki wewnętrzno - sowieckie, które reżym stalinowski określa jako walkę „z bandami trockistowsko - faszystowskimi, pozostającymi na żołdzie niemieckim," zaangażowały jeszcze silniej Stalina wobec mas na froncie przeciw „faszyzmowi" i Niemcom. Antagonizm niemiecko - sowiecki nie mógł również osłabnąć pod wpływem wojny hiszpańskiej!"

Dziwaczny kongres mniejszościowy

Dziwaczny, bo z całego przebiegu dwudniowych obrad i uchwalonych rezolucji oraz zupełnego braku zainteresowania angielskiej opinii publicznej do niedawna tak czułej na wszystkie mniejszościowe dolegliwości — każdy nieuprzedzony obserwator musiał wynieść wrażenie, że kongres odbywał się w próżni.

Pisze o nim *Kurjer Warszawski* (nr. 209 z 1.8) co następuje:

„Będąc narzędziem propagandy niemieckiej, kongres skrępowany był dyrektywami odpowiedniego ministerium berlińskiego. W broszurze, omawiającej powstanie, zasady i cele kongresu, jego organizatorzy nakreślili bardzo wąskie granice dyskusji. Omawianie jakichkolwiek spraw mniejszościowych nie narodowych, a więc np. religijnych, było zgóry wyłączone i zapewne dlatego żydzi niemieccy w kongresie udziału nie wzięli. Do przedstawicielstwa dopuszczano jedynie mniejszości europejskie. Wyłączona była kwestia rewizji granic i zabronione wszelkie konkretne zarzuty przeciwko jakiemukolwiek państwu".

I dalej jeszcze:

„Znamienny dla charakteru kongresu jest fakt niedopuszczenia delegacji Basków, którzy pragnęli poruszyć na kongresie kwestię niemieckich napadów lotniczych na ich nieszczęsny kraj. Po opuszczeniu kongresu przez dwóch delegatów baskijskich, rozesłali oni do prasy angielskiej list, podpisany przez senatora Labayan'a, który stwierdza, że „jasne jest, iż opanowanie kongresu przez Niemców pozbawiło obrady wszelkiej wartości. Nie jest to już kongres europejskich mniejszości narodowych, lecz jedynie zebranie, roztrząsające teoretyczne kwestie sprawiedliwości i równości pod ścisłą kontrolą tych właśnie prześladowców, którzy uniemożliwiają osiągnięcie tych ideałów."

O tym, że kongresy stanowią jedynie instrument polityki niemieckiej, przekonała się mniejszość polska w Niemczech już po rocznym udziale w Kongresach. Po stwierdzeniu tego faktu nie pozostało jej nic innego, jak — wystąpić z kongresów i szukać sprawiedliwości dla siebie na zgoła innym forum.

Wileńskie manewry

W związku z interpelacją posła Hutten - Czapskiego na temat okólnika min. Poniatowskiego, wydanego w sprawie przydziału ziemi, przeznaczonej na parcelację, a wyinterpretowanego przez wileńskie „Słowo" z masą niesłychanych złośliwości pod adresem ministra rolnictwa jako akcja przeciwko zasłużonym żołnierzom, *Gazeta Polska* (nr. 212 z 2.8) stwierdza, że jest to nieprzebierająca w środkach kampania personalna, prowadzona przy pomocy obłudy i przeinaczania rzeczywistości jedynie i tylko dla ratowania partykularnych interesów pewnej grupy.

„Siły — pisze „G. P." — którym zależy na utrzymaniu Polski w bezwładzie, nie śpią. Potrafią one wyzyskać każdy konflikt. Dla sił tych jest obojętne, czy konflikt ten zrodzi się z pychy dygnitarza kościelnego, czy ukartowanego spisku skrytobójczego, czy z partykularnych interesów pewnej grupy społecznej, czy z polityki personalnej, uprawianej przez jakąś zakonspirowaną kliczkę.

Obowiązkiem tych, którzy zdają sobie sprawę, w czyim interesie leży rozjątrzanie sytuacji w Polsce, jest natomiast zachowanie w tych sprawach spokoju, umiaru i bezstronności. Niekiedy nawet wymownego milczenia... Harce polityczno - personalne, uprawiane przez „Słowo", uważaliśmy i uważamy za działanie, idące na rękę tym, którzy pragną utrudnić dzieło zjednoczenia. To, czy harce te kierowane są ręką masońską, czy podszeptami „upiorów, które straszą", jest nam zupełnie obojętne. Są one jednakowo szkodliwe".

Robotnik (nr. 225 z 1.8) ocenia ostatnie ataki konserwy na min. Poniatowskiego w ten sam sposób:

„Z p. min. Poniatowskim rozstaliśmy się ideowo od wielu lat. On zdecydował się na wejście „w orbitę" systemu rządzenia. My jesteśmy opozycją idej, i zasad i metod w stosunku do systemu rządzenia, jako całości. I właśnie dlatego możemy napisać z całym obiektywizmem, że robienie akurat z Poniatowskiego jakiegoś „wroga" armii jest czymś nie tylko brzydkim, ale i bardzo śmiesznym".

Flirt i mezalians

Wiek Nowy (nr. 10.857 z 31.7) zajmuje wybitnie krytyczne stanowisko wobec wypadków, jakie rozgrywają się ostatnio na odcinku młodzieżowym, na którym pojawiły się pierwsze próby konsolidowania młodzieży, proponowane przez oficjalny organ „Związku Młodej Polski" — Młodą Polskę". Za pomost między odłamami młodzieży ma służyć nacjonalizm. W związku z tym „Wiek Nowy" przypomina, że różnice między nacjonalizmem I Brygady a nacjonalizmem Dmowskiego były tak olbrzymie, że utożsamianie ich uchodziło za obelgę.

„I słusznie — powiada tu dosłownie „Wiek Nowy". Nacjonalizm legionowo - niepodległościowy był społecznie postępowy, nawet radykalny, u narodowej demokracji— reakcyjny. Pierwszy był bezkompromisowy i heroiczny, „na stos" rzucające życie i mienie, drugi oportunistyczny, skłonny do wszelkich układów, giętki aż do sankcjonowania niewoli. Pierwszy był wielkoduszny i wspaniały, idący ku Polsce Jagiellonów, brzydzący się uciskiem i eksterminacją szowinizmu, drugi — ciasny i nietolerancyjny, zrodzony z duszy małej i zawistnej. Jego afirmacja byłaby gwałtowną redukcją nacjonalizmu Legionów".

„Młoda Polska" różnic tych nie przypomniała: co więcej przeprowadziła zato generalną rehabilitację Narodowej Demokracji!

„Nie ma jej nic do zarzucenia. Stwierdza, że ona „stworzyła całą szkołę polityczną, dała pierwsze zręby pod systemat polityki narodowej, wytworzyła całą filozofię narodową, logiczną, mocną wyrozumowaną... Narodowa demokracja reprezentowała przed wojną światową nacjonalizm typu politycznego."

I nic więcej. W niepamięć poszły pracowicie niegdyś zebrane przez Wład. Pobóg - Malinowskiego fakty, demaskujące właśnie ową „filozofię narodową" nar. demokracji, „logiczną i mocną" chyba w sensie gorzkiej ironii. Tu nie istnieje — ani serwilizm, ani sprzeczność między hasłem i czynem, ani załamanie w idei i metodzie. Pozostały tylko „pierwsze zręby", solidne, pozytywne, chwalebne".

Cóż wobec tego reprezentował obóz niepodległościowy?

„Dość niewiele, bo nic organicznie odmiennego. Poprostu tylko „myśl żołnierską" i „czyn". Programowe założenia tego obozu były — w porównaniu z narodową demokracją — zawstydzająco ubogie. „Idea przewodnia Legionów— powiada „Młoda Polka" — była mniej skrystalizowana i jasna, nie była ujęta w pisane formy tworów intelektu, była wyczuła, intuicyjna." Innych różnic nie było. Narodowa demokracja w sposób skrystalizowany, jasny i inteligentny stworzyła program narodowy, a Legiony go wykonały. Tamci byli świetlnymi politykami, ci dzielnymi żołnierzami."

Młode pokolenie ma więc powstać z syntezy żołnierskiego i politycznego typu nacjonalisty, czyli jak dowcipnie powiada cytowane pismo —

„Przy akompaniamencie hymnu Pierwszej Brygady czytane będą wersety z pism Romana Dmowskiego".

„Wiek Nowy" konkluduje więc jak następuje:

„Można być gorącym zwolennikiem konsolidacji i chętnie rzucać zasłonę na stare dzieje, ale trudno nie widzieć, że tutaj, w pogoni za doraźnym efektem politycznym — przeoczono sprawy podstawowe, a inne uproszczono zbyt ryzykownie, kosztem prawdy. Można uznać także zasługi narodowych demokratów, ale nie wolno w imię odbierania im prymatu aprobować ich postawy moralnej w polityce, ich generalnego poglądu na naród i państwo, ich metod, których najjaskrawszym przeciwieństwem były właśnie Legiony".

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem